

EMMA DARCY

Siła i namiętność

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znów to samo!

Kiedy Bernadette ujrzała snop czerwonych róż w ramionach posłańca, zacisnęła w gniewie zęby. Wiedziała bez liczenia, że tym razem będzie ich dwadzieścia cztery.

- Panna Bernadette Hamilton?

- Tak - warknęła, niezdolna do tego, by odwzajemnić bezmyślny uśmiech posłańca.

Kiedy zobaczyła, że zgasł, wzdrygnęła się w duchu, uświadamiając sobie szorstkość swojej odpowiedzi. Chłopak wykonywał tylko swoją pracę. Skąd mógł wiedzieć, że te piękne kwiaty sprawiały jej więcej udręki niż radości. Gdy wręczył jej róże i - jak każdego roku - wytłoczoną złotem kopertę z woskową pieczęcią, uśmiechnęła się przepaszająco.

Bernadette nie zadała sobie nawet trudu, żeby spytać, kto jest ofiarodawcą. Próbowala to wyjaśnić trzy lata temu, ale sprzedawca kwiatów wiedział o tym tajemniczym człowieku nie więcej niż ona. Koperta zawierała tylko napisane na maszynie instrukcje oraz przekaz pieniężny - wszystko razem nie do wyśledzenia.

Oderwała wzrok od woskowej pieczęci i dostrzegła z trudem skrywany błysk rozbawienia w oczach posłańca.

- Dziękuję - powiedziała oziębło i z godnością, jednocześnie zdając sobie sprawę, że ten powtarzający się co roku incydent był prawdopodobnie źródłem plotek i żartów w kwiaciarni.

To, że była nieślubną córką Gerarda Hamiltona, było i tak powszechnie wiadome. Jej niemądra i niedyskretna próba zidentyfikowania ofiarodawcy spowodowała, że zwykła transakcja stała się dla nich godna zapamiętania.

Posłaniec złożył żartobliwy - a może szyderczy? - pólukłon i skierował się do wind. Bernadette wykrzywiła się do jego dumnie wyprostowanych pleców. Kiedy już zniknął, weszła do mieszkania i dała upust swojemu rozgoryczeniu i gniewowi trzaskając drzwiami.

To był już szósty raz. Człowieka, który to robił, bez względu na to, kto to był, niemalże nienawidziła. Róże mogła wybaczyć. Każdy mógłby wysyłać jej róże na urodziny - ich liczba odpowiadała zawsze liczbie jej lat, dostawała je odkąd ukończyła dziewiętnasty rok życia - gdyby nie towarzyszyła im wytłaczana złotem koperta.

Krzywda, jaką jej wyrządzał - jaką już jej wyrządził

- tym co pisał, była straszna. Podminowało to całkowicie jej stosunki ze Scottem, Barrym i Trentem; podejrzewała już teraz każdego mężczyznę, który się nią interesował... wszystko jedno, czy ze względu na nią samą, czy ze względu na możliwość zostania zięciem Gerarda Hamiltona. Była tylko nieślubną córką, ale każde wejście w stosunki z jej ojcem było cenne.

Bernadette doznała już zbyt wielu bolesnych rozczarowań, żeby brać wszystko za dobrą monetę. Ale to podstępne obłączenie jej serca i umysłu... Czemu się nie ujawni? Czemu prześladuje ją wyznaniem miłości, jeśli nie ma zamiaru się z nią spotkać... wyznać jej otwarcie tego, co oświadczał w sekrecie i z ukrycia?

To było szalone! Czy też... raczej ekscentryczne... egoistyczne... i doprowadzało ją to do szaleństwa! A może ten człowiek jest umyślowo chory?!

Ta myśl przyszła już Bernadette do głowy przedtem.

Rozważała ją znowu, napełniając wodą wazon i wkładając do niego róże - róże tak ciemnoczerwone, że wydawały się prawie fioletowe, i o tak intensywnym zapachu, że wciskał się natrętnie w każdy zakątek jej obszernego mieszkania.

Nie jest psychicznie chory, zdecydowała. Kiedy pracowała w szpitalu miała do czynienia z ludźmi niezrównoważonymi umyślowo. Gra, którą prowadził ten człowiek, przebiegała według zbyt wymyślnego wzorca, była zbyt wyważona, aby mogła powstać w chorym umyśle. To był ktoś obdarzony szatańską przenikliwością... ktoś, kto bezwzględnie postanowił wniknąć w jej życie i wyrzucić na nie wpływ... ktoś działający wyłącznie dla własnego dobra.

Bez wątplenia łowca majątku.

Zapewne wyobraża sobie, że przyniesie mu to jakieś korzyści. Kiedy się wreszcie ujawni, bo przecież w końcu musi, już ona będzie wiedziała, jak z nim postąpić.

Bernadette szurnęła wazonem z różami i zostawiła je na środku białego kamiennego stolika w salonie. Wyglądały kosztownie... nieodpowiednio... nie na miejscu w lekko, nowocześnie urządzonej wnętrze.

Przebiegła wzrokiem po białych skórzanych kanapach i miękkich poduszkach - wybrał je dekorator wnętrz zatrudniony przez jej ojca. Zimne, kliniczne, bezduszne - pomyślała Bernadette. Takie same jak jej ojciec.

Nigdy nie lubiła tego mieszkania, nienawidziła konieczności, która zmusiła ją do przyjęcia go od ojca - dopóki nie skończy studiów i nie zacznie zarabiać na życie. Ale warto było się poświęcić dla zdobycia dyplomu lekarskiego. Tego nikt jej już nie odbierze i będzie mogła zrobić z niego dobry użytek. Lepszy, niż jej ojciec zrobił kiedykolwiek ze swoich pieniędzy!

Zwrócić to mieszkanie ojcu, a zrobić to w ciągu najbliższego miesiąca lub dwu - to była kwestia honoru. To postanowienie nigdy nie uległo zmianie. Dostanie je z powrotem tak samo, jak jej je dał!

A ona gdziekolwiek się znajdzie, stworzy sobie prawdziwy dom, przytulny i gościnny, do którego będą pasowały róże...

Bernadette gwałtownie pohamowała swoje fantazje. Znowu to samo! Pozwoliła, aby te przeklęte róże opanowały jej umysł, by sprawiły, że myślała o tym, czego nigdy nie miała, budząc pragnienia...

Wzięła kopertę do ręki, spojrzała na nią, przesunęła palce po woskowej pieczęci. Dla jej wewnętrznego spokoju byłoby lepiej, gdyby odmówiła czytania tego, co pisał. Powinna wyrzucić kopertę, spalić ją, nie pozwolić, by oddziaływał na nią jego zdradziecki urok. To byłoby naprawdę rozsądne.

Ale Bernadette nigdy w życiu nie cofnęła się przed wyzwaniem, nawet gdy musiała stawić czoła ojcu... a była zupełnie pewna, że nikomu innemu nie uszłoby to na sucho. Miała wtedy dwanaście lat i to było jej pierwsze z nim spotkanie. Dwanaście

samotnych lat, w czasie których nie dostrzegał jej istnienia i nagle...

Zacisnęła usta z determinacją. Swoją samodzielność zdobyła z trudem i była teraz gotowa przeciwstawić się każdemu mężczyźnie... albo kobiecie, jeśli będzie trzeba. Nie pozwoli się nikomu zastraszyć, a już na pewno nie człowiekowi, który korzysta z zasłony anonimowości.

Zirytowana jego bezczelnością rozerwała kopertę, zupełnie lekceważąc kosztowność papieru. W gniewnym zniecierpliwieniu wyszarpnęła jej zawartość... kartka dokładnie w tym samym stylu, co poprzednimi laty... migotanie złota... lśniący czerwony nadruk, którego piękne wydłużone litery przypominały ręczne pismo.

Wszystkiego najlepszego,

Bernadette -moja ukochana.

Otwierając kartkę Bernadette instynktownie zmobilizowała się, by dać odpór temu, co pisał w tym roku. Jego słowa miały zdolność wkradania się w jej podświadomość, a następnie przenikania do świadomości w najbardziej niespodziewanych momentach; niechciane - uporczywie zakłócały jej osąd, zniekształcały perspektywę. Z taką inwazją nie potrafiła walczyć. I to gniewało ją najbardziej!

Przebiegała wzrokiem po krótkiej jak nigdy dotąd zwrotce, a następnie wróciła do początku, by potem czytać te słowa jeszcze wiele razy.

Silą i namiętnością życia

jest miłość.

Zaakceptuj siłę;

rozkoszuj się namiętnością.

Wszystko inne... to próżność!

Poczucie zniewagi wzrastało, w miarę jak Bernadette analizowała w gniewie znaczenie tych słów. Czyżby ośmielał się sugerować, że te wszystkie lata ciężkiej pracy na studiach medycznych to zwykła próżność? Że ten czas powinna spędzić kochając się w nim? I dokąd by to ją doprowadziło? Do upokarzającego uzależnienia

od niego, do lęku, że ją porzuci, kiedy tylko zechce - myślała z oburzeniem.

Odkąd tylko zaczęła rozumieć, co się wkoło niej dzieje, była zdecydowana stanąć mocno na własnych nogach i nie być zależną od nikogo. Za nic! I osiągnęła to!

Palił ją gwałtowny gniew. To nie jej wina, że miłość nie pojawiała się na zawołanie. Nie może ponosić odpowiedzialności za to, że jest nieślubnym dzieckiem samego Gerarda Hamiltona. Nie jej wina, że matka umarła, gdy ona była dzieckiem niezdolnym by ją zapamiętać. A jeśli idzie o namiętność, to pojawiała się ona zbyt łatwo w pobliżu bogactwa; ludzie, którzy się nią rozkoszowali, przysporzyli jej gorzkich doświadczeń.

Gdyby oczekiwała, że miłość będzie siłą i namiętnością jej życia, byłaby teraz w godnej pożałowania sytuacji. I jeżeli to właśnie miał na myśli jej tajemniczy wielbiciel, ona go natychmiast, jak tylko będzie miała okazję, wyprowadzi z błędu.

Wrzuciła kartkę do szuflady, w której trzymała pozostałe, i zdecydowała nie spoglądać na nie nigdy więcej. Nawet wtedy, gdy poczuje się samotna i smutna, nawet w chwilowych napadach głębokiej depresji.

Kiedys ten człowiek się wreszcie ujawni i będzie musiał ponieść odpowiedzialność za swoje słowa. Ona zna je wszystkie na pamięć i z całą pewnością wypróbuje jego szczerość. Będzie musiał jej powiedzieć, dlaczego je wysyłał i co miały znaczyć. Już ona wydobędzie od niego prawdę, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaka jej pozostanie do zrobienia w życiu.

Znowu odezwał się dzwonek do drzwi.

Serce Benadette zabiło gwałtownie i musiała wziąć głęboki oddech, aby przynajmniej przybrać pozory spokoju.

Tym razem to zapewne ojciec.

Weszła szybko do sypialni, żeby w ostatniej chwili sprawdzić swój wygląd. Nie żeby jej zależało na tym, co o niej myśli. Od dzieciństwa nauczyła się radzić sobie bez niego. Ale jakiś odruch dumy nakazywał jej, ilekroć pokazywała się publicznie w towarzystwie ojca, nie wyglądać gorzej od jego ślubnej córki. Alicja Hamilton była

ulubienicą rubryk towarzyskich w gazetach. Bernadette nigdy nie będzie. Pogardzała tymi pełnymi próżności głupstwami, ale musiała się z nimi liczyć. Przed prasą nie było ucieczki, taką ciekawość budził jej ojciec... Gerard Hamilton, zaangażowany

w każde poważniejsze finansowe przedsięwzięcie, był właścicielem finansowego imperium rozciągającego się na cały świat i oczywiście zawsze przynoszącego zyski - coraz więcej pieniędzy - dzięki którym ono mogło rosnąć, a on stawać się coraz bogatszy i potężniejszy.

Czy kupił sobie jej matkę, tak samo jak kupował sobie wszystkie inne kochanki, odkąd umarła jego żona? Bernadette gorąco pragnęła to wiedzieć, ale nigdy nie pytała... nigdy go nie zapyta... o nic. Nigdy w życiu!

Jej błękitne spojrzenie zlodowaciało na samą myśl o tym. Odbicie w lustrze upewniło ją, że żaden kosmyk ciemnoblond włosów nie wymknął się z eleganckiego wężła, że makijaż nie pozostawiał nic do życzenia, że biała wieczorowa suknia układała się na jej giętkiej sylwetce ze stylem, wdziękiem i wyglądała naprawdę elegancko.

Tak, była gotowa na spotkanie ojca... gotowa do walki z każdym, w każdych warunkach... I nikomu nie ma zamiaru ustąpić.

Bez pośpiechu wyszła z sypialni, wzięła torebkę ze stolika w przedpokoju i otworzyła drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gerard Hamilton był dużym mężczyzną: wysoki, o szerokich ramionach, zwałisty; przytłaczający zarówno swym wzrostem, jak i siłą osobowości. Był człowiekiem, któremu trudno się było sprzeciwić; człowiekiem silnym i przyzwyczajonym do stawiania na swoim, który lekko nosił swoje pięćdziesiąt osiem lat - wiek gwarantujący mu doświadczenie i dojrzałość i dodający jeszcze szorstkiego, męskiego uroku, jaki zresztą cechował go zawsze.

Nic dziwnego, że kobiety za nim szalały, uwielbiały go i gotowe były zrobić dla niego wszystko. Bernadette zdawała sobie sprawę z jego magnetycznej siły, czasami nawet sama czuła jej działanie, ale nigdy nie pozwoliła sobie na to, by jej ulec.

Gerard Hamilton uśmiechnął się na widok wysokiej, dumnej sylwetki swej córki. Podobała mu się znamionująca upór linia jej podbródka, podziwiał nieustraszone, wyzywające spojrzenie jej spokojnych oczu, gładkość fryzury, uderzającą czystość rysów, nadającą jej twarzy chłodne, niedosięte piękno... Taka podobna do Odile, ta sama miękka kobiecość sylwetki...

Ale inteligencję miała jego... Ten sam przenikliwy umysł, który z dystansu dokonywał oceny i był zdolny do działania z bezwzględnym okrucieństwem, jeśli tylko chciał... lub musiał. Jego dziecko... bardziej jego niż wszystkie inne, chociaż nigdy nie miał wątpliwości co do tego, że był ich ojcem. Były do niczego, płytkie i małostkowe, jak jego żona. Ale ona... Ona była taka jak on.

Wiedział, że gdzieś w głębi duszy, w jakimś ciemnym zakamarku, żywi do niego nienawiść za krzywdę, którą, jak sądzi, on jej wyrządził. Teraz już za późno na zatarcie tego wrażenia. Nie ma dowodu. Nie mógł udowodnić, w sposób dla niej zadawalający, co się naprawdę wydarzyło.

A poza tym załatwiał w życiu zbyt wiele skomplikowanych interesów, żeby nie wiedzieć, że a nuż nie wygląda to aż tak źle. Życie sprawia niespodzianki... czasami wydaje się, że ma się wszystko, czego się chce, a potem okazuje się, że to nie to. Tak było z jego dziećmi z legalnego związku.

Odepchnął tę myśl i przygotował się do przyjemności, jaką miało być spędzenie tego wieczoru na pojedynku z Bernadette.

- Z każdym rokiem wyglądasz coraz ładniej - powiedział ze szczerym podziwem. -
Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

- Dziękuję - odpowiedziała chłodno Bernadette.
Nie próbował nawet pocałować jej w policzek. Jej chłód był niewzruszony; wiedział, że serdeczniejszy gest z jego strony będzie przyjęty z pogardą. Podziwiał jej niezależność, ale czasami zadawała mu ona ból, zbyt głęboki, żeby pozwolić sobie na roztrząsanie całej sprawy. Łatwiej w ogóle o tym nie myśleć. Podał jej kluczyki samochodowe.

- Prezent dla ciebie.

Bernadette wzięła je, zważyła w dłoni, chcąc je odrzucić, ale wiedziała, że może skuteczniej okazać mu pogardę dla sposobu, w jaki korzysta ze swego majątku.

Uśmiechnął się. Był to pełen pewności siebie uśmiech człowieka, który wiedział, że może kupić, co tylko mu się spodoba.

- To czerwony sportowy Mercedes. Możesz mnie zawieźć na kolację.

- Dziękuję. Ale wiesz, że go sprzedam? – powiedziała szorstko.

Robiła tak z każdym samochodem, który jej kupował, i przeznaczala pieniądze na cele charytatywne. Pomyślała natychmiast o schronisku dla kobiet, skąd wielokrotnie wzywano ją do potrzebujących pomocy medycznej kobiet i dzieci. Tak, schronisku z pewnością przyda się zastrzyk gotówki.

- Samochód jest twój, Bernadette. Co z nim zrobisz, to wyłącznie twoja sprawa - powiedział Gerard bez cienia urazy.

Co właśnie dowodziło, jak niewiele to dla niego znaczyło. Samochody... futra... biżuteria... to jedynie towary wymienne w grze, którą prowadził dla osiągnięcia swoich celów. Czy jej matka tylko dlatego uległa Gerardowi Hamiltonowi, że mogła coś od niego dostać? Czy miłość w ogóle wchodziła w rachubę? Na pewno nie z jego strony. Tylko człowiek niezdolny do miłości może, tak jak on to robił, nie chcieć znać własnego dziecka przez dwanaście lat.

Zastanawiała się, dlaczego zawracał sobie nią głowę przez następne dwanaście lat. Z całą pewnością nie spowodował tego nagły przyływ uczucia. Na pewno wiązał z nią jakieś plany na przyszłość. Gerard Hamilton nie inwestował, jeśli nie spodziewał się, że to przyniesie mu jakieś zyski, w takiej lub innej postaci. Ale jej nigdy nie pozyska kosztownymi prezentami. Nigdy w życiu!

Popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała dokładnie to, co miała na myśli:

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. Mnie nigdy nie kupisz.

Zaśmiał się lekko.

- Nigdy się nie zmieniaj, Bernadette. Gdybyś się zmieniła... - wykrzywił usta w ironicznym grymasie. - Nic by mi wtedy nie zostało.

Bernadette zmarszczyła brwi, słysząc tę uwagę i zamknęła za sobą drzwi mieszkania.

- Nic? - rzuciła w jego stronę, kiedy szli do wind. - Myślałam, że lubisz siłę, jaką daje ci majątek. A to już z pewnością jest coś.

- Tak. Ale majątek i siła - to próżność. Lubię być na szczycie. Zawsze lubiłem. Ale

namiętność... - urwał, a potem łagodnie, jakby się zwracał do samego siebie, dodał
- ...opuściła mnie dawno temu. Dokładnie dwadzieścia cztery lata temu.

Drzwi otwarły się przed nimi i Bernadette weszła do środka, ukrywając, jak mogła najlepiej, że była wstrząśnięta... Siła... namiętność... próżność - to były kluczowe słowa wiersza. Czyżby to ojciec wysyłał jej przez cały czas te róże i kartki? Ale dlaczego? Jakie mogłyby kierować nim motywy?

Miłość... o tym nie wspomniał! Czy to miłości chciał od niej? Dwadzieścia cztery róże... dwadzieścia cztery lata temu... ale przez dwanaście lat w ogóle nie zwracał uwagi na jej istnienie. Oczywiście płacił za opiekę, dbał, żeby jej niczego nie brakowało... ale to nie miało nic wspólnego z miłością!

W podziemnym garażu otworzyły się drzwi windy i Bernadette posłusznie szła za ojcem w kierunku czerwonego sportowego Mercedesa. Otworzył jej drzwi po stronie kierowcy i Bernadette wsunęła się za kierownicę z sercem bijącym tak szybko, że było jej trudno oddychać. Próbowwała się uspokoić, ale było już za późno. Ataki astmy, prześladowające ją od dzieciństwa, przychodziły zawsze wtedy, kiedy nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Duszności były już dostatecznie kłopotliwe, ale świszczący oddech był jeszcze gorszy. Musi temu zapobiec za wszelką cenę. Jej skóra zwilgotniała, kiedy sięgnęła po torebkę i otworzyła ją gwałtownym szarpnięciem. Znalazła lekarstwo na astmę, które zawsze nosiła ze sobą. Poniżało ją zażywanie go w obecności ojca, który usiadł obok, ale nie miała wyboru; wreszcie udało jej się złapać oddech, kłopot był zażegnany.

- Przepraszam, Bernadette - powiedział cicho, a potem westchnął. - Przypuszczam, że to przeze mnie. Mam wrażenie, że zawsze wyprowadzam cię z równowagi.

- Nie masz z tym nic wspólnego - zaprzeczyła zawstydzona tym, że na jej policzkach pojawił się rumieniec.

- Ataki masz zawsze, kiedy jesteś zdenerwowana albo wyprowadzona z równowagi

- przypomniał jej sucho. - Relacje lekarzy z okresu, kiedy byłaś w szkole, były dość

dokładne i nie przypuszczam, żeby coś się od tego czasu zmieniło.

- Nie denerwujesz mnie, ani nie wyprowadzasz mnie z równowagi - upierała się, zdecydowana nie ustąpić. - To pewnie przez ten zapach nowej tapicerki w samochodzie. Lepiej będzie, jeśli ty poprowadzisz na wypadek, gdyby to się miało powtórzyć.

Przepraszając ją raz jeszcze, przesiadł się na jej miejsce przykryte puszystym wełnianym pokrowcem, który skutecznie tłumił wszelki zapach „nowości”. Ale Bernadette zbyt późno zwróciła na to uwagę. Musiała już upierać się przy swoim.

- Tak bym chciał móc coś zrobić - powiedział ojciec, patrząc na nią z troską, na którą jakoś trudno było się obruszyć, tak wydawała się szczerą.

- Nie możesz nic - uciekła ostro. Gdzie był, kiedy chciała... potrzebowała jego troski?

- Zdaję sobie z tego sprawę - wyszeptał z żalem. Była wdzięczna, że porzucił ten temat i zapalił

silnik. Nie chciała rozmawiać. Potrzebowała trochę czasu, żeby pomyśleć.

Jeśli to ojciec posyłał te róże i kartki, dlaczego zaczął dopiero w jej dziewiętnaste urodziny. To się nie zgadzało. Co chciał przez to osiągnąć? Czy była to jakaś subtelna forma manipulacji... aby podminować te znajomości, które uważał za nieodpowiednie dla niej?

Ale po co? I dlaczego miałoby mu na tym zależeć? Czego chciał?

Odpowiedź była oczywista. To nie może być on. To musi być ktoś inny. Gerard Hamilton zdradzał oczywiście ojcowskie zainteresowanie jej osobą - choć przyszło ono raczej spóźnione - ale nie miał czasu na uczucia.

Bernadette przypominała sobie, kiedy po raz pierwszy wykazał w stosunku do niej ojcowską troskę. Miała wtedy trzynaście lat i było to podczas jej pierwszego semestru w okropnie drogiej szkole z internatem - ale nie tej, w której była Alicja. W tamtej kładziono raczej nacisk na pozycję towarzyską, podczas gdy w szkole, w której była Bernadette, ważniejsze były osiągnięcia w nauce. Ale jej koleżanki

pochodziły z uprzywilejowanych rodzin i wiedziały, kim była.

Dokuczano jej strasznie - tak strasznie, jak dzieci potrafią. Nie było jej miło, kiedy nazywano ją bękartem, i broniła się ze wszystkich sił. Pewien incydent spowodował, że znalazła się w pokoju dyrektorki szkoły i posłano po Gerarda Hamiltona.

Bernadette nie spodziewała się, że przyjedzie, ale się zjawił.

- Czy chciałabyś zmienić szkołę? - zapytał.
- Nie bardzo wiem, po co - opowiedziała pogardliwie. - Ciebie znają wszędzie.
- Mógłbym cię zabrać do Anglii, jeżeli ci było lepiej w innym kraju.
- Nie, dziękuję. - Podniosła podbródek dumnie i wyzywająco. - Nikt nie zmusi mnie do ucieczki.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem coś na kształt uśmiechu przemknęło mu przez twarz.

Na koniec tego roku zabrał ją ze sobą za granicę na cały styczeń. Odwiedzili Francję i Włochy. Wtedy po raz pierwszy spędził z nią więcej czasu niż tylko kilka godzin i o ile Bernadette nie pozwoliła sobie, by go za to polubić, nauczyła się go szanować, bo był niezwykłym człowiekiem.

Od tego czasu zawsze w styczniu gdzieś ją zabierał: do Kanady i Stanów Zjednoczonych, do Szwajcarii i Austrii, do Grecji, Izraela i Egiptu, do Wielkiej Brytanii i Irlandii, do Japonii i Hong Kongu; aż skończyła osiemnaście lat i oznajmiła, że zamierza studiować medycynę i nie będzie miała więcej czasu mu towarzyszyć.

Oświadczenie to przyjął z tym samym dziwnym uśmiechem.

Bernadette chciałaby bardzo wiedzieć, jak działał jego umysł. Zdradzał tak niewiele. Tak mało dających punkt zaczepienia konkretów.

- Czym się ostatnio zajmujesz? - zapytała, starając się, aby pytanie brzmiało jak najbardziej obojętnie.
- Próbuję kupić wyspę - opowiedział sucho.

- Twoje własne małe imperium? - zakpiła.

Kiedy zaśmiał się miękko, zorientowała się, że go źle rozumiała.

- Nie. Jeżeli Marlon Brando może mieć wyspę, ja też mogę. Zamierzam zrobić to samo co on i stworzyć na niej miejscowość wypoczynkową.

Bernadette pomyślała, że wyspa Marlona Brando położona jest niedaleko Tahiti, ale ojciec nie planował chyba niczego tak daleko. Wiedziała, że był zaangażowany finansowo w przemysł turystyczny na Złotym Wybrzeżu w Queensland.

- Gdzieś w okolicy Wielkiej Rafy Koralowej? - zapytała, chcąc raczej potwierdzić swoje przypuszczenia, niż zaspokoić ciekawość.

Uśmiechnął się, zadowolony, że może ją zaskoczyć.

- Nie. To jedna z mniejszych Wysp Towarzyskich. Nazywa się Te Enata - ziemia mężczyzn.

Bernadette z szyderstwem uniosła brwi.

- I nie mają oni nic przeciwko temu, że ją im zabierasz?

- W rachubę wchodzi tylko jeden mężczyzna. Wyspa jest już własnością prywatną. Należy do Dantona Fayette.

Bernadette musiała wziąć głęboki oddech, bo jej serce uderzyło mocniej. Danton Fayette!

To nazwisko natychmiast wywołało wspomnienie człowieka, tak ostre i żywe, że wymazało z jej umysłu wszystkie inne: jego wysoka, szczupła, pełna wdzięku sylwetka, pełne ekspresji ruchy rąk, fascynująca - raczej dzięki inteligencji niż urodzie Don Juana - twarz i te niegodziwe, niegodziwe czarne oczy śledzące, dręczące, zalotne, które by ją usidliły, gdyby tylko poddała się jego zniewalającemu urokowi.

- Spotkałaś go kiedyś w Hong Kongu – powiedział jej ojciec, a potem dodał, jakby to nie miało znaczenia - ale to było dawno temu. Możesz już nie pamiętać.

Pamiętam go - wymruczała niewyraźnie, czyniąc gwałtowne wysiłki, by nie ujawnić swoich gwałtownych emocji.

Nienawidziła Dantona Fayette... i była nim zafascynowana. Nigdy przedtem ani potem żaden mężczyzna nie zrobił na niej tak silnego wrażenia. On zaś bawił się, kpiąc sobie ze wszystkich jej ambicji i ideałów i zmuszając ją do zacieklej obrony. Wyrażał się lekceważąco o tym, w co wierzyła, więc walczyła wszelkimi dostępnymi jej środkami. I była pewna, że parokrotnie zdobyła nad nim przewagę. Przynajmniej parę razy udało jej się zgasić tę iskrę cynizmu w jego oczach.

- On cię pamięta. Dzisiaj pytał o ciebie – powiedział zdawkowo jej ojciec.

- Dałam mu się pewnie we znaki – powiedziała z gorącą dumą.

Gerard Hamilton spojrzał na nią ostro, ale Bernadette nie wdawała się w dalsze

wyjaśnienia. Wyraz jej twarzy wskazywał, że zamknęła się w sobie, i to skutecznie pozbawiło go chęci do dalszej rozmowy na ten temat. Zastanawiał się, czy za znajomością z Dantonem Fayette kryło się coś więcej, niż dało się wtedy zobaczyć.

Nie był zadowolony z tego, że Danton Fayette poświęcił wtedy Bernadette tyle uwagi. Ani ze sposobu, w jaki na nią patrzył i z nią tańczył. Była taka młoda

- właśnie skończyła szkołę. Jakim mogła być przeciwnikiem dla człowieka tak doświadczonego i światowego jak Danton Fayette, zawziętego uwodziciela, który był niebezpiecznie przystojny i który potrafił obrócić wszystko na swoją korzyść?!

Z pewnością nic się nie zdarzyło tamtej nocy. Ale czy na pewno nic nie wydarzyło się potem? Zachowanie Bernadette nie uległo zmianie, a gdyby Danton próbował czegokolwiek, zmiany byłyby widoczne. Danton chyba nie starał się jej uwieść. Albo może spotkał się z druzgocącą odmową.

Uśmiechnął się sam do siebie. To było możliwe - kto lepiej od niego znał siłę jej postanowień? Myśl o swej bezkompromisowej córce odrzucającej wymyślne zaloty Dantona Fayette rozbawiła Gerarda.

Myśli Bernadette pomknęły nagle zupełnie innym torem, choć ciągle dotyczyły Dantona Fayette. Hong Kong - to było sześć lat temu.

- Jak mało wie pani o życiu - wyrzucił jej, gdy oskarżała go, że jego działania zmierzają tylko do powiększania własnego bogactwa... Pieniądze i potęga po to tylko, aby je mieć... no, i kobiety oczywiście. Bernadette natychmiast rozpoznała ten typ człowieka. Danton Fayette był dokładnie taki sam jak jej ojciec.

- Zastanawiam się, czy pani ideały wytrzymają próbę czasu. Mam chęć odegrać rolę adwokata diabła... - zatrzymał się, a potem zaprzeczył ruchem głowy.

- Z panią jednak, co mnie samego dziwi, raczej nie będę próbował.

Danton Fayette ma szatański umysł, który mógł uknuć tę grę z wysyłaniem róż i kartek. Ale interesował się nią tylko przez jeden wieczór - przypomniała sobie z goryczą. Widziała go następnego dnia, gdy szedł pod ramię ze wspaniałą kobietą, a ją w przelocie pozdrowił szyderczo.

Prowadzi już nową grę, z bardziej uległą ofiarą, pomyślała Bernadette i szybko i spokojnie ukryła ból. Pochlebiało jej jego zainteresowanie - nie była nieczuła na jego zniewalający urok - ale on wołał kobiety, które nie krytkowały jego drogi życiowej - to było zupełnie jasne.

Albo może ona nie była dość atrakcyjna, aby utrzymać jego zainteresowanie. Taki mężczyzna...

To wspomnienie wzbudziło nieprzyjemne uczucia i Bernadette potrzebowała paru dobrych chwil, aby wziąć się w garść i spróbować na zimno zastanowić się nad swoimi poprzednimi podejrzeniami.

Danton Fayette nie może kryć się za tymi różami i kartkami. Człowiek, któremu po jednym wieczorze przeszło zainteresowanie jej osobą, nie mógłby osaczać jej przez sześć lat.

Zastanawiała się, czy był ciągle tak nieznośnie przystojny... tak niebezpiecznie pociągający... czy też lata zepsucia ujęły mu jego magnetycznego uroku. To by było ciekawe... tylko zobaczyć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bernadette otrząsnęła się z zamyślenia, podczas gdy jej ojciec skierował Mercedesa do garażu hotelu Inter-Continental. Był to jeden z najnowszych hoteli w Sydney, którego charakterystyczną cechą było włączenie jednego z historycznych zabytków miasta - budynku starego Skarbca - w jego strukturę. Bernadette lubiła atmosferę minionej epoki w obrębie bardzo nowoczesnego hotelu i nie potrafiła nie cieszyć się z tego, że tu będą jedli dziś kolację.

Samochód przejęła obsługa. Bernadette i ojciec pojechali windą na parter. Przeszli wzdłuż ozdobionego kolumnami głównego pomieszczenia zbudowanego w kształcie czworokąta. Ponad nim - na wysokości trzech pięter budynku Skarbca - wznosił się szklany dach, przez który w ciągu dnia wlewało się światło słoneczne. Wielka skrzynia obsadzona okazami australijskiej flory zdobiła środek wewnętrznego dziedzińca starego budynku. Wokół niej ustawione były stoły z wygodnymi bambusowymi fotelami, przy których goście mogli odpocząć, zjeść lekką przekąskę i pić koktajle.

Gerard Hamilton nie zatrzymał się tu. Przeprowadził Bernadette wokół wewnętrznego dziedzińca do restauracji w budynku skarbca, wspaniałej wysokiej sali umeblowanej ze staranną elegancją wiktoriańskiej rezydencji. Wszyscy kelnerzy byli we frakach, stoły przykryte były pięknymi białymi obrusami i zastawione najlepszą porcelaną; fotele wokół nich obite były wspaniałą, wzorzystą tkaniną.

Bernadette uśmiechnęła się z uznaniem, gdy główny kelner z wyszukaną uprzejmością pomagał jej usiąść za stołem.

- Lepiej ci teraz? - zapytał ojciec, przyglądając jej się uważnie poprzez stół.
- Świetnie, dziękuję.

Nalano im szampana do kieliszków. Gerard Hamilton wznosił toast.

- Za ciebie, moja droga. Ciesz się każdym rokiem, jaki jest przed tobą.
- Dziękuję, ojczy - odpowiedziała gładko. - Zamierzam to robić, na swój własny sposób.

Uśmiechnął się.

- Co chcesz teraz robić, po skończonej praktyce w szpitalu?
- Wezmę zastępstwo na jakiś czas... chcę zdobyć trochę doświadczenia w medycynie ogólnej.

Pokiwał głową z aprobatą.

Bernadette wahała się, czy powiedzieć mu całą prawdę, i po chwili zdecydowała, że ojciec może w końcu dowiedzieć się teraz.

- Mam zamiar starać się o pracę w misji.
- To może być niebezpieczne - zauważył łagodnie, świadom, że każdy objaw niezadowolenia może stać się bodźcem do wzmocnienia jej postanowienia, choćby tylko po to, by sprzeciwić się jego życzeniom.

Bernadette wzruszyła ramionami, ale odpowiadając patrzyła mu prosto w oczy.

- Chciałabym opiekować się ludźmi, którzy nie mogą płacić, za to, czego potrzebują, którzy nie mają do kogo zwrócić się o pomoc w cierpieniu. Jestem pewna, że potrafisz to zrozumieć, ojcze.
- To piękna ambicja, Bernadette - odrzekł, rozumiejąc aż za dobrze, co chciała przez to powiedzieć. Będzie dawała to, czego on jej nie dał. Ale musi być jakiś sposób, żeby temu zapobiec.

Niech go diabli porwą, jeśli ma spokojnie patrzeć, jak posyłają ją do jakiejś zakazanej dziury. Może mógłby poruszyć jakieś sprężyny... może nawet zablokować jej podanie... ale jeśli ona się o tym dowie - odsunie ją to od niego jeszcze bardziej. Trzeba będzie o tym pomyśleć.

Wręczono im menu i rozmowa umilkła na czas, gdy dokonywali wyboru i zamawiali kolację.

- Alicja planuje bal maskowy na Sylwestra – Gerard celowo zmienił temat. - Czy przyjdiesz w tym roku?
- Wiedział, co odpowie, ale zawsze była jakaś szansa na to, że pewnego dnia zmieni zdanie.

Bernadette uważała, że były pewne rzeczy, które należały się jej od niego jako ojca, i sztywno trzymała się tych wyznaczonych przez siebie granic. To były bardzo podstawowe rzeczy... dawanie dachu nad głową i pieniędzy na życie, dopóki jej edukacja nie zostanie ukończona. Do tego wszystkiego miałyby prawo, gdyby poślubił jej matkę.

Oprócz przyjmowania jego pomocy, dopóki nie mogła utrzymywać się sama, Bernadette pokazywała się z ojcem, ponieważ było to publiczne potwierdzenie łączącego ich pokrewieństwa, a tego nie chciała być pozbawiona. Z drugiej strony nic, co czynił teraz, nie mogło wynagrodzić jej tego, że przez tyle lat trzymał się od niej z daleka.

Ale odwiedzenie domu, który inne jego dzieci z dumą uważały za swój dom rodzinny, znajdowało się poza tymi granicami. To był ich dom... nie jej.

- Jestem pewna, że bal maskowy będzie towarzyskim tour de force - zauważyła zdawkowo. - Ale to nie w moim stylu, ojcze.
- Bardzo bym się cieszył, gdybyś przyszła.
- Nie chciałabym za nic przyćmić Alicji.
- Alicja zabiega teraz o moją przychylność. Zrezygnowałaby nawet z roli gwiazdy, żebym tylko wyraził zgodę na jej drugie małżeństwo. I wyznaczył jej wysoką pensję

- powiedział z nutą cynizmu w głosie.

- Masz zamiar to zrobić?

Alicja opuściła swego pierwszego męża po czterech miesiącach, oświadczając, że nie może z nim wytrzymać. Była o cztery lata starsza od Bernadette i zajęła pozycję gospodyni w domu ojca. Gerard nigdy nie wprowadził żadnej ze swych kochanek do domu rodzinnego.

Wzruszył ramionami.

- Bardziej mu zależy na pieniądzach niż na Alicji, ale i tak jest lepszy niż ten pętek, którego wybrała poprzednio. Kto wie? Może będę miał z tego wnuki.

Bernadette obruszyła się na jego cynizm.

- Nie martwisz się, że zostanie zraniona?

Spojrzał na nią wzrokiem, w którym malowało się zmęczenie poprzednimi doświadczeniami.

- To jest coś, czego ona pragnie, Bernadette. Jeśli nie wie, kogo sobie wybierać, to tylko dlatego, że nie chce wiedzieć. A jeżeli jej to powiem, będzie tylko myśleć, że chcę zniszczyć jej szczęście.

Nagle jego oczy zabłysły, przyszła mu do głowy zabawna myśl.

- Słuchaj... ty mi powiedz, jak powinienem postąpić. Zrobię, co powiesz.

Mówił poważnie. To zaskoczyło Bernadette. Świadomość, że prawdopodobnie trzyma los przyrodniej siostry w swoich rękach, sprawiła, że musiała zastanowić się głębiej nad odpowiedzią.

- Jeśli dasz mu pieniądze, których chce, bez żadnych zobowiązań, a on ciągle będzie pragnął Alicji... - zaczęła Bernadette.

Gerard Hamilton uniósł brwi, dając wyraz swemu sceptycyzmowi.

- Jeśli weźmie pieniądze i zniknie, Alicja będzie myślała, że go przekupiłem. I będzie mnie za to nienawidzić. - Spojrzał na Bernadette w zamyśleniu.

- Czy chcesz, żeby mnie nienawidziła?

- Nie.

Jej odpowiedź była tak spontaniczna, że Gerard nie mógł wątpić w jej szczerść. Ucieszył się, że jej niechęć nie sięgała tak daleko.

- To, co sugerujesz... Coś takiego bym zrobił dla ciebie, Bernadette, bo ty masz siłę charakteru, która pomogłaby ci zapomnieć o takim człowieku. Ale Alicja nie sięga wzrokiem poza swoje chwilowe pragnienia i emocje.

- Nie chcę, byś wystawiał szczerść moich adoratorów na próbę. Ja mam swoje własne sposoby i środki - poinformowała go z nutą cynizmu wywołanego własnymi gorzkimi doświadczeniami.

Pokiwał głową - potwierdzało to fakt, że Bernadette ma charakter, i poczuł gwałtowną satysfakcję. Jego syn był dyletantem, druga córka - powierzchowną damą z towarzystwa, ale Bernadette była z tej samej gliny co on. Pewnego dnia przekazuje jej swoje imperium. Miał nadzieję, że uda mu się zobaczyć, co z nim zrobi.

- Jeśli idzie o Alicję - mówiła wolno - nie znam jej na tyle, żeby podjąć dobrą decyzję. Zostawię tobie. Niewątpliwie jej szczęście leży ci na sercu.

Zlekceważył tę subtelną wymówkę. Kiedyś może zrozumie. Kiedy będzie starsza... żeby tylko mógł żyć wystarczająco długo... żeby jego serce wytrzymało dotąd, dopóki uda mu się zasypać tę przepaść, która ich dzieli. Będzie musiał lepiej o siebie dbać. Robić to, co zalecił lekarz.

- W wypadku Alicji nie może być mowy o szczęściu - powiedział zmęczonym głosem. - Jedyne, co mogę robić, to utrzymywać spokój. I mieć dla niej zawsze otwarte drzwi.

Zatrzymał się zastanawiając, czy nie posiać w umyśle Bernadette ziarna, które kiedyś, w przyszłości przyniesie plon. Zdecydował, że warto spróbować.

- Moje drzwi są zawsze otwarte dla ciebie, Bernadette, jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się przekroczyć granicę, którą sama wyznaczyłaś.

- Nie ja ją wyznaczyłam, ojcze.

- Nie. Ale ta propozycja jest zawsze aktualna... gdybyś zechciała - przypomniał jej cicho.

Tylko odkąd umarła jego żona... nie przez pierwsze dwanaście lat jej życia. A mógł przecież widywać się z nią przedtem. Mógł chociaż częściowo spełniać rolę ojca w jej dzieciństwie.

Małżeństwo, które opiekowało się nią, nigdy nie udawało jej rodziców, nigdy nie okazywało jej miłości, którą otrzymuje każdy członek normalnej rodziny. Bernadette zdała sobie bardzo wcześnie sprawę, że są tylko opłacanymi opiekunami. Powiedziano jej, że matka umarła wkrótce po jej urodzeniu, a ojciec był zajęty innymi sprawami. Nie pamiętała dokładnie, kiedy się dowiedziała, że ma on inną rodzinę. Świadomość bycia niechcianą towarzyszyła jej od wczesnych lat.

I oto pewnego dnia, kiedy miała dwanaście lat, po prostu się zjawił i zaczął rościć sobie prawa do tego, co nie obchodziło go wtedy, gdy żyła jego żona. Bernadette zaś odmawiała mu jakiegokolwiek prawa do rozporządzania jej osobą z całą siłą wrogości, jaka nagromadziła się w niej przez te wszystkie lata, kiedy do nikogo nie należała.

- Nie chcę z tobą mieszkać! I nie będę - krzyczała.

- Nie próbuj mnie zmuszać. Nie pójdę!

Nie próbował. Pewnie zrozumiał, że nigdy nie będzie się czuła u siebie. Nigdzie nie była u siebie. I kiedy przez ostatnie dwanaście lat spełniał do pewnego stopnia rolę ojca, nigdy nie czuła się przy nim swobodnie - na pewno też nie czułaby się dobrze w jego domu. Uśmiechnęła się chłodno.

- Trochę na to za późno, nie sądzisz, ojcze?

- To zależy tylko od ciebie, kochanie - odpowiedział łagodnie, bez nalegania.

Ich uwagę zwróciło wkroczenie głośnego towarzystwa, które zakłóciło atmosferę spokoju panującą w restauracji. Kilku mężczyzn poprzedzało pięć oszałamiająco pięknych kobiet, zadbanych i ubranych według najnowszej mody - pewnie modelek, pomyślała Bernadette - i wszyscy, jak się zdawało, śmieli się z czegoś, co powiedział

jeden z mężczyzn, ponieważ ich rozbawione i wyrażające radosne oczekiwanie twarze zwrócone były w jego kierunku.

- Danton Fayette - wymruczał Gerard ze złością. Bernadette gwałtownie odwróciła głowę, by spojrzeć na ojca, podczas gdy jej serce kołatało jak nigdy. Mimo że minęło już tyle czasu, Danton Fayette ciągle robił na niej wrażenie, jakiego nie wywarł nigdy przedtem żaden mężczyzna. Czuła szybkie uderzenia serca i robiła, co mogła, żeby się opanować.

Za nic nie chciała, by Danton przyłapał ją na tym, jak mu się przyglądała z ciekawością i zainteresowaniem. Nie po tym, co się kiedyś zdarzyło. Ten jeden raz, dawno temu... niewiele brakowało, a zrobiłaby z siebie idiotkę. To się nie może powtórzyć!

Gdyby przechodził koło ich stolika, może rzucić mu obojętne spojrzenie, ale za nic nie pozwoli na to, by uczucia, które w niej wzbudził, znalazły jakikolwiek wyraz.

W napięciu śledziła zbliżanie się hałaśliwego towarzystwa. Miała nadzieję, że nie zatrzymają się tu, gdzie siedziała z ojcem, i że będzie mogła zobaczyć go znowu, nie ujawniając swojej ciekawości.

Gdy Bernadette z wysiłkiem starała się stworzyć pozory obojętności, głosy zbliżały się coraz bardziej...

- Ależ musisz przyjść, Danton...

- Danton, mój drogi...

- Danton, w żadnym wypadku nie możesz... Jakże to typowe, że otacza się haremem pięknych

kobiet, pomyślała Bernadette z wściekłością. Inni mężczyźni w tej grupie z pewnością się nie liczyli. Kobiety patrzyły tylko na niego! Jeżeli jakiś mężczyzna może przypominać satyrę - to jest nim na pewno Danton Fayette. Przypuszczać, choćby przez chwilę, że mógłby wysyłać te kartki i róże, było czystym szaleństwem. Jego stosunek do kobiet całkowicie uniemożliwiał jakąkolwiek wytrwałość.

- Gerard...

Niski, ujmujący głos poruszył strunę pamięci i sprawił; że nerwy Bernadette zadrżały w napięciu.

Kelner prowadzący całe towarzystwo patrzył na Dantona, który dawał mu wskazówki z wdziękiem i swobodą.

- Proszę zaprowadzić moich gości do naszego stolika i zająć się nimi. Ja przyjdę za minutę albo dwie.

- Nie zostawiaj, proszę, swoich gości - powiedział ojciec z niechętną uprzejmością, gdy Danton zatrzymał się koło nich.

- Wybacz, że przeszkadzam, Gerardzie...
Dreszcz niepokoju przebiegł jej ciało... a może było

to przeczucie? Jej piersi szybko unosiły się i opadały... miała nadzieję, że tego nie zauważył. Zaciśnęła pod stołem pięści wbijając sobie paznokcie w ciało. Przede wszystkim nie wolno jej się zdradzić żadnym kompromitującym gestem. Opanowanie było niezbędne w postępowaniu z mężczyznami typu Dantona Fayette. Zapanowała nad nagłym uczuciem pustki w żołądku i zmusiła się do spokoju... przynajmniej zewnętrznego.

I dopiero wtedy uniosła głowę - powoli - zwracając oczy na wysoką, szczupłą sylwetkę mężczyzny ubranego w elegancki wieczorowy strój. Jej spojrzenie zatrzymało się krótko na ciemno opalanej szyi - i już wiedziała, że ujrzy go takim, jakim go zapamiętała - ostro rzeźbiony podbródek, zmysłowe usta skrzywione w rozumnym uśmiechu, arystokratyczny nos.

Minęło sześć lat. Ale czuła, jakby widziała go zaledwie wczoraj. Czarne kręcone włosy były tak samo niesforne jak zawsze i podkreślały wydatny łuk brwi, zaś ocienione gęstymi rzęsami oczy miały ten sam niegodziwy i szyderczy wyraz, jakby ich właściciel wszystko wiedział i był tym rozbawiony.

Ale było też coś innego.

Bernadette potrzebowała chwili, aby zorientować się, co to jest. Ślady zmęczenia życiem wyżłobione wokół jego ust i oczu nie były tak widoczne. A raczej - były w

ogóle niewidoczne.

Jego twarz promieniowała żywotnością i radością życia i to czyniło go człowiekiem jeszcze bardziej pociągającym, kimś, kogo nie można nie zauważyć.

Błysnął w jej kierunku olśniewającym uśmiechem.

- Proszę mi wybaczyć. Nie mogłem się oprzeć pragnieniu przypomnienia się twojej pięknej córce.

Bernadette nie mogła stłumić zadowolenia. Pamiętał ją. Uważał, że jest pociągająca. Chciał nawet odnowić z nią znajomość.

Natomiast Gerard Hamilton był zły. Miał nieuchwytnie wrażenie że jest przedmiotem manipulacji Dantona Fayette. To spotkanie nie było przypadkowe. Ale o co Dantonowi mogło chodzić? Dlaczego nie chciał zrobić interesu, z którym Gerard się do niego zwrócił? Było tylko kilku ludzi, których Gerard nie potrafił rozszyfrować, i Danton Fayette był jednym z nich. I to sprawiało, że negocjacje z nim były rzeczą trudną.

Nie podobał mu się też sposób, w jaki uśmiechał się do Bernadette!

- Czy ta gromada pięknych kobiet, którą przyprowadziłeś ze sobą dzisiaj, ci nie wystarczy? - kpił. - Ciesz się tym, co masz.

- Och, Gerardzie... - czarne oczy spojrzały na niego od niechcienia i rozległ się lekki śmiech. - Jesteś zazdrosny o swoją córkę. Wcale mnie to nie dziwi.

Gerard poczuł niebezpieczeństwo jak nagle ukłucie. Zmusił się do uśmiechu.

- Bernadette jest bardzo niezależna.

- Dała mi to do zrozumienia - powiedział Danton żartobliwie, a następnie zwrócił się znowu w stronę Bernadette. W całej jego sylwetce widać było silne napięcie, ale głos był spokojny i obojętny. - Sześć lat temu. Hotel „Mandaryn”. W Hong Kongu. Była pani wtedy bardzo młoda, kończyła pani osiemnaście lat i była zdecydowana na karierę medyczną, jak pamiętam.

Rzeczywiście, była bardzo młoda, zgodziła się po cichu, ale nawet wtedy mogła się z

nim zmierzyć, pomyślała z dumą. I duma sprawiła, że jej twarz wygładziła się jak alabaster, oczy zaś wyrażały całkowitą obojętność, gdy odpowiadała na jego pytanie, w którym wyczuwała trochę jadu.

- Tak. Rzeczywiście, jestem już w pełni wykwalifikowanym lekarzem - poinformowała go chłodno,

a potem z przekąsem: - A cóż się działo z panem? O ile pamiętam, pańskie poglądy na życie były

przerafinowane i... uwzględniające głównie zmysły!

Nasze cele i dążenia były całkowicie przeciwstawne. Czy osiągnął pan to, co zamierzał? W kącikach jego ust czaił się uśmiech, a wargi poruszały się w sposób zdradzający namysł. Z całą pewnością był najbardziej zniewalającym mężczyzną, jakiego znała.

- Nie. Ale zbliżam się do niego z każdym rokiem, z każdym dniem. Nie mam zamiaru się poddać - powiedział i wydawało się przez chwilę, że w jego oczach pojawił się błysk powagi.

- To widać po towarzystwie, w jakim się pan dziś wieczór znajduje.

Zaśmiał się.

- Urocze, prawda? I takie gorliwe! To jest cena sukcesu! - w jego oczach lśniły kpina czy też szyderstwo. - Ale, nie będzie chyba przesadnym pochlebstwem powiedzieć, że pani wydaje się... nie mniej czarująca. Dla właściwego mężczyzny.

- Dla właściwego mężczyzny, tak! - wtrącił Gerard zdecydowany przerwać tę grę na boku. Instynktem wyczuwał napięcie pomiędzy Dantonem i Bernadette, a nie ufał temu człowiekowi... szczególnie, gdy w grę wchodziła jego córka.

- Ale na pewno nie dla takiego, który lubi kolekcjonować wielbicielki dla zabawy - wycedził wskazując głową stół, przy którym posadzono gości Dantona. Gerard zauważył, że Bernadette wyprostowała się dumnie i miał nadzieję, że ma już tego dość. Być może nienawidziła go, ale byłoby bezpieczniej dla niej, żeby również nienawidziła Dantona Fayette.

- To bardzo nietaktowna uwaga, Gerardzie. I nieprawdziwa - zakpił Danton, a w jego oczach pojawił się ostrzegawczy błysk.

Gerard przyjął z cichym zadowoleniem lekki śmiech Bernadette - świadczył o jej rozbawieniu.

- A któż, pana zdaniem, byłby tym właściwym dla mnie mężczyzną? - zapytała. On na pewno nie - jej ojciec miał co do tego rację - ale nie mogła się powstrzymać od prowokowania Dantona... od chęci zatrzymania jego uwagi jeszcze przez chwilę.

Machnął ręką, lekceważąc pytanie.

- Czy bardzo się pani zmieniła od czasu, gdy panią poznałem?
- W ogóle się nie zmieniłam.
- Wołałbym to ocenić sam.
- Byłoby to prawdopodobnie bardzo dla mnie nudne. - Rzuciła mu spokojny, pełen pewności siebie uśmiech. - Ja mam poważny stosunek do życia. Pan się nim bawi. Pamięta pan? Niech więc pan teraz korzysta z okazji. Następnej nie będzie.

- Czemu nie? Będę na balu maskowym u pani ojca w Sylwestra. - Jego brwi uniosły się, nadając twarzy wyraz szyderstwa. - Ale może pani jest ciągle tą strachliwą małą dziewczynką, która boi się wejść do domu ojca... bo może zostać zraniona?

- Danton, dość już tego! - wycedził Gerard, wściekły z powodu bezceremonialności tego człowieka. - Nie pozwolę, abyś ty lub ktokolwiek inny obrażał moją córkę. Byłbym zobowiązany, gdybyś...

- Nie bądź śmieszny, ojcze! - przerwała mu gwałtownie Bernadette. Nie potrzebuje, żeby stawał w jej obronie. Szczególnie, jeśli chodzi o Dantona Fayette.

- Pan po prostu usiłuje mnie przycisnąć do muru... zresztą, muszę dodać, w bardzo amatorski sposób. - Spojrzała na Dantona unosząc kpiąco brwi. - Wydaje się, że stracił pan całą swoją subtelność. To zdecydowanie nudne. Zaśmiał się miękkim, gardłowym głosem,

- Zapewniam panią, Bernadette, że nie będzie się pani nudziła. Postawię sobie za punkt honoru, żeby musiała pani cały czas mieć się na baczności. Jestem też bardzo ciekaw, jaki wybierze pani kostium.

Niewiele brakowało, a powiedziałyby, że nie przyjdzie, ale powstrzymała się i przyglądała się Dantonowi

z namysłem. Nie podobało jej się, że ludzie mogli odczytywać jej decyzje o

trzymaniu się z dala od domu ojca jako słabość charakteru... czy nawet tchórzostwo! Ale z drugiej strony Danton może nią przy pomocy tej trudnej do przełknięcia sugestii manipulować... zmusić do przyjęcia wyzwania, tak samo, jak zmusił ją do tańca w Hong Kongu. Tym razem będzie działać z własnej woli, a nie jedynie reagować na jego posunięcia!

- A jaki kostium pan założy? Proszę mi pozwolić zgadnąć - wycedziła, dając mu oczami do zrozumienia, że jest aż nazbyt łatwy do rozszyfrowania.

Znowu poruszył ustami w ten sam prowokacyjny i zmysłowy sposób.

- To będzie moja pierwsza niespodzianka. Pierwsza z wielu.

Umysł Bernadette pracował teraz pełną parą. Czasami trzeba odstąpić od jakiejś zasady, aby pozostać w zgodzie z inną, ważniejszą; i jeśli ludzie myślą, że to z lęku trzyma się z daleka... być może powinna pójść na ten bal. Jeśli pójdzie, będzie miała możliwość utarcia nosa Dantonowi Fayette.

- Może nie będę zakładać maski - powiedziała, starając się nie zdradzić swoich myśli. Niech się zastanawia, myślała ze skrytą satysfakcją. Nie miała zamiaru niczego mu ułatwiać.

- A może nosiła ją pani zbyt długo i teraz obawia się tego, co jest pod nią? - sprzeczał się dalej.

Bernadette śmiała się, by pokazać Dantonowi, że nie może sprowokować jej do robienia tego, na czym mu zależy. Ale nie mogła powstrzymać rozbawienia, w jaki wprawiał ją ten pojedynek. Był draniem i dręczył ją nieznośnie, ale... prowokować ją potrafił jak nikt inny. Czemuż by nie przyjąć wyzwania i nie udowodnić mu, że jest tak samo godny pogardy jak wszyscy inni, którzy próbowali ją wykorzystać do swoich własnych celów?

On przynajmniej nie ugania się za majątkiem. O ile uda się jej zachować trzeźwość - a z całą pewnością się uda - pomysł upokorzenia Dantona Fayette był bardziej upajający niż wino.

- Prawda jest taka... Nie żyję w obawie przed niczym - mówiła znudzonym głosem.
- Tylko po prostu nie mogę pana ścierpieć.

Ta obelga go rozbawiła.

- Już mi to pani raz powiedziała. Nie uwierzyłem pani wtedy. Zbyt dobrze nam się razem tańczyło.

To wspomnienie przeszło ją ogniem. Trzymał ją tak blisko. Sprawił, że była boleśnie świadoma jego ciała i swojego własnego również. Ale była wtedy o tyle młodsza... niedoświadczona.

- Mnie nie interesują frywolne rozrywki do tego stopnia co pana - powiedziała pogardliwie.

- Czyżby? - w jego oczach błysnęła przekora. - Proponuję zatem pojedynek charakterów. Zdemaskuję panią... ujawnię pani prawdziwy charakter... zanim pani zdoła odkryć mój.

- To żaden pojedynek. Poznam pana wszędzie. Nie ma takiej maski, za którą mógłby pan się schować.

Jego uśmiech zdradzał denerwującą pewność siebie.

- Zobaczymy, kto ma rację... a kto nie ma. Będę oczekiwał naszego następnego spotkania. Powinno być... bardzo ciekawe pod względem poznawczym.

Odwrócił się w stronę Gerarda, który wsłuchiwał się w każdy fragment tej rozmowy z uczuciem rosnącego niepokoju, choć nie dawał tego po sobie poznać. Podejrzewał, że Danton Fayette rozgrywał właśnie nową kartę w tym swoistym pokerze, w który grali przez ostatnie dwa tygodnie, i nie był pewny, o co mu teraz chodziło. Wyczuł, że sprawa nabrała nowego wymiaru. Może nie kupował wcale wyspy. Może raczej niechcący sprzedawał swoją córkę. Jedyne, czego był pewny, to tego, że mu się to wszystko nie podobało.

W czarnych oczach jego przeciwnika lśniła satysfakcja.

- Nie będę więcej przeszkadzał, Gerardzie... Bernadette. Życzę przyjemnej kolacji.
- Dziękujemy. I nawzajem - odpowiedział Gerard ze zwykłą uprzejmością, a jego umysł z furią rozważał wszystkie możliwości.

Danton błysnął uśmiechem i oddalił się.

Bernadette patrzyła, jak szedł do stolika, przy którym posadzono jego „wielbicielki”. Pojedynek z Dantonem Fayette - taki, który wygra - to było bardzo, bardzo kuszące! Pokaże mu! I każdemu, kto sądził, że nie stawia czoła sytuacji, w której rodzina jej ojca może ją zranić!

Co prawda pójście na bal było również ustępstwem w stosunku do ojca i to jej się nie podobało. Ani trochę. Powiedziała sobie jeszcze raz, że nie zależy jej na tym, co myśli o niej ojciec, ale była świadoma jego badawczego wzroku. Rumieńce zakłopotania pojawiły się na jej policzkach.

I Gerard Hamilton wiedział natychmiast, jak bardzo niebezpieczny był jego przeciwnik.

- Zamierzasz przyjść na bal, Bernadette? - zapytał, starając się ukryć niedowierzanie i urazę z powodu faktu, że Dantonowi Fayette udało się spowodować przełom, do którego tak bardzo chciał doprowadzić sam.
- Mówiłeś, że chciałbyś, żebym przyszła - odpowiedziała z nutą starej zaczepności w głosie. - W końcu kiedyś trzeba zacząć. Równie dobrze można teraz.

Gerard Hamilton poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, tak, jak sobie nigdy przedtem nie wyobrażał. Ta pierwsza wizyta w jego domu może dać początek innym... wreszcie przełamane lody... ale Danton Fayette był w tym wszystkim tak bardzo nieprzewidywalnym elementem!

Zmarszczył brwi.

- Proszę, nie zrozum źle tego, co chcę powiedzieć, bo przecież zawsze będziesz mile widziana, Bernadette...

Szukał właściwych słów. Może Bernadette nie potrzebowała ochrony, ale potrzeba chronienia jej była u niego zbyt silna, by mógł zaniechać działania.

- Danton Fayette jest najbardziej niebezpiecznym mężczyzną, jakiego znam - powiedział z powagą.

- I nie mówię tego bez powodu. - Spojrzał jej w oczy z ostrzeżeniem. - Prowadzi jakąś grę, ale nie gra według żadnych zwyczajnych reguł. Zawsze trzyma w rękawie ukryte karty i wyciąga je, kiedy są mu potrzebne... A gdy to robi... - pokręcił głową. - Jeśli udałoby ci się go pokonać, okazałabyś się silniejszą ode mnie.

Te słowa wymknęły mu się - zaślepiła go obawa o nią, ale już w momencie, kiedy je wypowiadał, wiedział, że popełnia straszliwy błąd. W oczach Bernadette widział coraz bardziej stanowcze postanowienie i przeklinał siebie za to, że wskazywał jej niebezpieczeństwo.

- Mogę grać w każdą grę, ojczy. Tak samo jak ty - powiedziała z nieugiętą dumą. - Nawet jeśli będę musiała w jej trakcie stwarzać własne reguły.

Pokażę im! Obydwu, Dantonowi i ojcu! Po raz pierwszy w życiu wejdzie w progi domu ojca... i jeśli któryś z nich będzie próbował w jakikolwiek sposób i w jakimkolwiek celu nią manipulować, pokaże im nie pozostawiając cienia wątpliwości, że jest naprawdę kobietą samodzielną! I niezależną od nikogo!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bernadette przeszukiwała wypożyczalnie kostiumów balowych i teatralnych, w których były różne wymyślne stroje, ale nie natrafiła na nic, co wydało by jej się odpowiednie. Nie chciała nic wyświechtanego ani zbyt oczywistego. Jej strój na ten bal maskowy musi być wyzwaniem dla Dantona Fayette i wyrażać jej pozytywny stosunek do życia, nie zdradzając jednocześnie jej tożsamości.

W końcu wpadła na pomysł, który nadawał się do jej celów i miał w sobie pewną pikanterię, ale nie było łatwo go wykonać. Projektanci i krawcowe pracujący dla pań z towarzystwa przyjęliby takie zlecenie, ale mieli zwyczaj plotkować o tym, co robią dla swoich klientów. Gdyby komuś wymknęło się słówko - a uważała, że Danton jest zdolny do tego, by się dowiadywać, w co będzie ubrana - sprawiedliwy pojedynek będzie fikcją.

Ale uśmiechnęło się do niej szczęście.

Sprzedła swojego sportowego Mercedesa i ofiarowała pieniądze schronisku dla kobiet, nalegając, aby za część tych pieniędzy nadać temu miejscu bardziej miły i przytulny charakter. Jedna z kobiet, która znalazła w nim przytułek, chętnie zgodziła się uszyć zasłony i pokrowce na poduszki.

Gdy Bernadette podziwiała jej zręczne palce, kobieta wyznała, że kiedyś pracowała w fabryce produkującej luksusową odzież i zna wszystkie sekrety szycia eleganckich ubrań. Była tak zachwycona propozycją i hojnością Bernadette i tak bardzo podniecona możliwością zrobienia dla niej kostiumu oraz maski, że z entuzjazmem przystąpiła do realizacji jej pomysłu.

Rozwiązawszy ten problem Bernadette zdecydowała się podjąć tymczasową pracę, przejmując praktykę nieobecnego lekarza. Ponieważ wielu lekarzy wyjeżdżało na wakacje o tej porze roku, miała bardzo wiele propozycji. Stwierdziła, że praca lekarza ogólnego interesuje ją bardziej i jest lżejsza niż jej poprzednia praca w szpitalu.

Była zajęta, ale nie na tyle, żeby nie móc pogawędzić ze swoimi pacjentami. I to jej

odpowiadało. Nawet bardzo. Chciała nieść ludziom pomoc w znacznie szerszym niż tylko medycznym sensie tego słowa. Chciała dawać im poczucie bezpieczeństwa i sprawiać, że czuli się lepiej. Wiedziała aż nazbyt dobrze, jak to jest, kiedy się nie ma nikogo, kto by wysłuchał... i okazał troskę.

Przyszły Święta Bożego Narodzenia. Gerard Hamilton podarował Bernadette olśniewający naszyjnik z pereł i kolczyki do kompletu. Bernadette podarowała mu małą, filigranową figurkę syreny wykonaną przez Lladro.

- Jeżeli ci się uda kupić tę wyspę Te Enata, myśl, że nie ma na tej „ziemi mężczyzn” nic kobiecego, będzie dla mnie nie do zniesienia - skomentowała to sucho, zakłopotana tym, że wyraźnie zrobiła mu tym prezentem dużą przyjemność. Po raz pierwszy dała ojcu prezent, który nie był ostentacyjnie „obowiązkowy”.

Prawda była taka, że czuła się trochę winna w stosunku do niego, ponieważ na bal zamierzała przyjść ze względu na Dantona. Wiedziała, że powody, które kryły się za jej decyzją, były stosunkowo mało istotne. Było jasne, że odrzucanie zaproszeń ojca przez te wszystkie lata, w świetle tego, że teraz zdecydowała się pójść, ponieważ Danton wyzwał ją na pojedynek, to zwykła dwulicowość. Czuła się... podła... i wcale jej się to nie podobało. Gerard Hamilton zmarszczył brwi.

- Danton zdradza zainteresowanie naszą ofertą, ale otwarcie się nie zadeklarował... jak dotąd! Na coś czeka. Ale ja nie wiem, na co.

Spojrzał na Bernadette i znowu to poczucie skradającego się niebezpieczeństwa przejęło go dreszczem. Na co Danton czekał... i dlaczego Gerard miał wrażenie, że osoba Bernadette była jakoś z tym związana? Całą siłą woli spróbował się uspokoić.

- Skoro nie masz już Mercedesa, przyślę po ciebie w Sylwestra mój samochód - powiedział z zachęcającym uśmiechem. - Alicja i Alex czekają na to, żeby cię poznać.

- To będzie interesujące - powiedziała gładko, powątpiewając w szczerść przyrodniej siostry i brata. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby naprawdę byli zadowoleni z obecności podrzutka w gnieździe. W końcu, gdyby naprawdę ich choć

trochę obchodziła, postaraliby się w ciągu tych dwunastu lat ją poznać.

- Bardzo dziękuję, że chcesz przysłać po mnie samochód. Chętnie skorzystam. - Skoro już szła do domu ojca, powinna przybyć w tym samym stylu, w jakim mogli to zrobić Alicja i Alex.

- A może przyszlabyś na świąteczny obiad, Bernadette. Byłbym...

- Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Mam dyżur chirurgiczny tam, gdzie teraz pracuję. Cały dzień.

I na tym się skończyło! Ale Gerard miał trochę satysfakcji. Jej prezent, figurka syreny - myśl... impuls, które się za nim kryły - to było pierwsze pęknięcie na dzielącej ich od dwunastu lat tafli lodu.

Następne sześć dni minęły Bernadette szybko, do czego przyczyniło się pełne radosnego podniecenia oczekiwanie. Jej kostium i maska były gotowe i Bernadette była zachwycona efektem, jaki wywoływały. Jej umysł bez ustanku pracował nad tym, jaki kostium wybierze Danton, zabawiała się także wymyślaniem tego, co mu powie, kiedy go zdemaskuje!

Faust... Mefistofeles... Casanovą... Rasputin... to były postaci, które pasowały do jego charakteru. Będzie starał się wywieść ją w pole, ale ona była pewna, że pozna go, jak tylko go zobaczy. Danton Fayette miał zbyt charakterystyczną osobowość, aby ujść jej uwagi.

W Sylwestra Bernadette miała wolny dzień. Poszła do fryzjera i dała sobie zrobić jaśniejsze pasemka w swoich ciemnoblond włosach. Długie loki wiły się miękko i spadały swobodnie. Efekt był dokładnie taki, jaki zamierzyła.

Kiedy wreszcie przyszedł czas, by zacząć się ubierać na bal, aż drżała z podniecenia. Spódnica jej kostiumu była prawdziwym dziełem sztuki: fale szyfonu stopniowo przechodziły ku górze od koloru czarnego poprzez bardzo ciemnofioletowy do jasnofioletowego i szarego z akcentami blad różowego i cytrynowego w pobliżu talii. Kolory te znajdowały swą kontynuację w drobnutkich perłach i cekinach z masy perłowej misternie wyszywanego paska, który zbierał w talii białą,

przypominającą promienie słoneczne, plisowaną górę.

Perły, które ojciec podarował jej na Gwiazdkę, były idealnym dodatkiem do kostiumu, a poza tym założenie ich wydawało się gestem dobrej woli. Bernadette ciągle czuła się niezręcznie z powodu przyjęcia zaproszenia ojca, choć wiedziała, że nie miało to nic wspólnego z pojedynczym spotkaniem w jego domu.

Otrząsnęła się z tego uczucia i skoncentrowała całą uwagę na założeniu maski. Zakrywała ona jej twarz do potowy i była połączona z czymś w rodzaju korony ozdobionej niczym gwiazdami pięcioma punktami rozmieszczonymi na szczycie jej głowy i ponad uszami, tworzącymi wizerunek wznoszącego się słońca, lśniący tymi samymi cekinami i drobnymi perłkami, które zdobiły pasek. Otwory na oczy, ozdobione w ten sam sposób, stwarzały cudowny, egzotyczny efekt.

Bernadette uśmiechnęła się z zadowoleniem do swego odbicia w lustrze. Oto nadchodzi świt... dla Dantona Fayette. Nie omieszka go oświecić, jeśli będzie próbował z nią swoich ciemnych sztuczek. Pewna siebie i pełna energii zaśmiała się na myśl o czekającym ją pojedynku. Nigdy nie pozna jej w tej masce i ze zmienionymi włosami.

Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, wybiegła z sypialni prawie tańcząc i nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy zobaczyła szofera ojca, który osłupiał na jej widok.

- Panno Bernadette... - pokręcił głową, gdyż zabrakło mu słów.
- Może być, Jeffrey? - zapytała i zawirowała wokół niego.

Szofer był poczciwym człowiekiem pracującym u jej ojca przez trzydzieści lat. Wiózł ją do szkoły z internatem, kiedy jechała tam po raz pierwszy, i zawsze okazywał jej serdeczne zainteresowanie.

- Będzie pani najpiękniejsza na tym balu, panno Bernadette - oświadczył wylewnie.
- Jestem pewien, że pan Hamilton będzie chciał się panią przed wszystkimi pochwalić.
- Tego właśnie bym chciała uniknąć, Jeffrey - powiedziała chłodno.

Szofer westchnął.

- Ale to naturalne - wymruczał. - Pani nawet nie wie, jak bardzo jest z pani dumny, panno Bernadette.

Dumny? Zastanawiała się w milczeniu. Nie był z niej wystarczająco dumny, aby się do niej przyznawać, kiedy była dzieckiem. Być może teraz jest inaczej, teraz jest z niej trochę dumny. W przeciwnym razie, czemu by tak nalegał, aby stać się częścią jej życia, i dlaczego ją starał się uczynić częścią swego?

Zamknęła mieszkanie i w towarzystwie szofera udała się na dół, do Rolls-Royce'a ojca. Od jej mieszkania przy Bondi Beach do słynnej rezydencji Huntingdon przy Point Piper nie było daleko. Bernadette często się zastanawiała, czy ojciec kupił ten dom dlatego, że jego nazwa przypominała swoim brzmieniem jego nazwisko, czy też tylko dlatego, że był stosowny do jego bogactwa.

Dom zbudowano przy końcu ubiegłego wieku i z całą pewnością był jedną z najbardziej prestiżowych i najdroższych rezydencji w Sydney; był położony na terenie dawnego portu i trzeba było zatrudniać więcej niż kilku służących, aby go utrzymać w pełnej świetności.

Jeffrey prowadził Rolls-Royce'a bez pośpiechu. Nagle odchrząknął i spojrzał przez ramię, aby zwrócić na siebie uwagę Bernadette.

- Czy pozwoli pani, panno Bernadette, że powiem, jak bardzo jestem zadowolony, że nareszcie odwiedzi pani dom. Nawet, jeżeli tylko dziś wieczór.

- Dziękuję, Jeffrey. Ale wiesz, że to nie ma większego znaczenia.

- Minęło już tyle czasu - powiedział z cieniem smutku. - Może nie powinienem tego mówić... Wiem, ma pani powody, żeby mieć żal do swego ojca, panno Bernadette, ale... on się robi coraz starszy. Nie powinna pani tego zapominać. Lepiej pogodzić się z nim, zanim... zanim coś się stanie.

- Czy ojcu coś dolega, Jeffrey?

- Tego nie powiedziałem - odrzekł pośpiesznie. - Po prostu wiem, jak bardzo jest zadowolony z pani wizyty w Huntingdon. Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawiła. I może zechce pani wkrótce przyjść znowu.

- Może - powiedziała niezobowiązująco.

Szofer umilkł, a Bernadette rozmyślała nad tym, co powiedział. Ojciec miał tylko pięćdziesiąt osiem lat i wydawał się w kwiecie wieku. Ma co najmniej następne dwadzieścia lat na to, aby „się z nim pogodzić”, jeżeli w ogóle do tego dojdzie. Niech najpierw wytłumaczy, dlaczego jej zrobił taką krzywdę, pomyślała gorzko. Nigdy nawet nie spróbował!

Rolls-Royce skręcił przed bramę wjazdową do Huntigdon, zwolnił i zaczął posuwać się za innym samochodami. Goście napływali nieprzerwanym strumieniem. Trzypiętrowa rezydencja z piaskowca była oświetlona reflektorami z ogrodu i już sam jej rozmiar sprawiał imponujące wrażenie, a cóż dopiero elegancja architektury. Wejściowy portyk wspierał się na potężnych kolumnach, które majestatycznie wznosiły się do drugiego piętra. Budynek bardziej przypominał muzeum niż dom, pomyślała Bernadette, zadowolona że w nim nie mieszka.

Rolls-Royce podjechał przed frontowe schody Służący zajmujący się samochodami otworzył drzwi i pomógł Bernadette wysiąść. Przybyli przed nią goście przyglądali się jej pytająco, zanim weszli do głównego holu. Bernadette uśmiechnęła się do siebie, spokojna, że jej tożsamość pozostanie tajemnicą. Stała w rzędzie osób witanych przez szejka - było aż nadto oczywiste, że to sam Gerard Hamilton - koło którego z jednej strony stała dziewczyna z haremu, a Madame Pompadour z drugiej.

Nawet własny ojciec jej nie poznał. Spojrzał na zaproszenie, które mu wręczyła.

- Wiesz, dlaczego tu jestem - powiedziała szybko i cicho, przypominając sobie sugestie szofera, że

Gerard mógłby chcieć się nią chwalić. - Chciałabym pozostać incognito, tylko rodzina stanowi wyjątek.

- Zrobiłem w tym celu wszystko, co się dało. Danton nie będzie miał żadnej pomocy z mojej strony - powiedział ponuro, a potem się uśmiechnął. - Ładnie ci w tych perłach.

- Dziękuję.

Dotknął ramienia Madame Pompadour, odrywając jej uwagę od wcześniej przybyłych gości i kierując ją ku Bernadette.

- Alicjo, to jest nasz honorowy gość.

Alicja z odrobinę sztywnym uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Witaj w Huntingdon. Ufam, że będziesz się dobrze bawić - wypowiadała te słowa z wystudiowaną uprzejmością. - Mam nadzieję, że porozmawiamy po zdjęciu masek, o północy.

- Tak. Dziękuję - wymamrotała Bernadette, której było trudno dorównać przyrodniej siostrze w opanowaniu.

Alicja, ciągle trzymając jej rękę, machała do mężczyzny przebranego za Ludwika XIV. Ten powoli oddalił się od gości, których witał.

- Alex, wprowadzisz naszego honorowego gościa, prawda? - powiedziała dobitnie Alicja.

- Z największą przyjemnością - wycedził i zanim podał Bernadette ramię, złożył przed nią wyszukany ukłon. Był równie wysoki jak Gerard, ale na tyle szczupły, że wyglądał całkiem elegancko w swoim historycznym kostiumie.

- No, no, no - prawie chichotał, wyprowadzając Bernadette z gromady witających się gości. - Nasz stary ma nie byle jaki powód do dumy. Gdybyś nie była moją krewną, siostrzyczko, próbowałbym cię przygadać.

- A jak się nazywa to, co teraz robisz? - odcięła sucho. Jego usta zadrżały w kącikach.

- Dostałem dokładne instrukcje i nie opłaca mi się cię obrażać. Utrzymanie stylu życia, do jakiego jestem przyzwyczajony, uzależnia mnie od tatusia.

- Sądziłam, że jesteś już znany jako zawodowy fotograf? - usiłowała się dowiedzieć Bernadette.

- To tylko hobby. Z zawodu jestem playboyem. Nigdy nie dorównam drogiemu tacie, więc zaprzestałem próbowania i ponoszenia porażek. To tylko prowadzi do nerwicy. Dużo przyjemniej jest wydawać pieniądze, które on z przyjemnością zarabia.

- Rozumiem - wymruczała Bernadette, usilnie starając się, aby nie dosłyszał pogardy, jaką budziła w niej jego postawa.

- Czyżby, ślicznotko? - zakpił. - A czy rozumiesz, jakie jest twoje miejsce w wielkim planie?

Bernadette nie miała pojęcia, o jakim wielkim planie mówił, ale nie miała zamiaru się do tego przyznawać przed tym lekkoduchem. Było zupełnie oczywiste, że zarówno Alicja jak i Alex podporządkowywali się woli ojca ze względu na jego bogactwo, ale ona nie miała zamiaru. Nigdy!

- Ja mam swój własny plan, Alex - powiedziała z beztronską pogardą.

- To fascynujące - wycedził. - Moje dzisiejsze zadanie jest następujące: mam cię zaprowadzić na salę balową, zajmować się tobą, dopóki będziesz się rozglądać wśród gości, a następnie pozostawić cię samej sobie. Jeżeli ci to nie odpowiada, wydaj mi inne instrukcje. Moim obowiązkiem jest sprawiać ci przyjemność.

- A czy dobrze tańczysz? - zapytała Bernadette.

- To jedna z dyscyplin, które playboy musi uprawiać regularnie - odparł z pełnym szyderstwa dostojeństwem.

- Zatem przyjemność sprawi mi taniec z tobą. I dziękuję, Alex. Postaram się nie deptać ci po palcach.

- Świetnie! - powiedział i poprowadził ją do ogromnej, wspaniałej sali balowej.

Sala miała kształt kwadratu o boku długości przynajmniej trzydziestu metrów. Szklane drzwi na przeciwległej ścianie wychodziły na przestronne patio, z którego rozciągał się widok na przystań. Z wysokiego na dwa piętra sufitu zwisały piękne kandelabry, a na wysokości pierwszego piętra biegł wokół sali balowej krużganek. Wspaniałe schody z obu stron zbiegały w dół ku podestowi i łączyły się przed wejściem, stwarzając niemal teatralny efekt.

- Do gotowalni dla pań prowadzą schody po prawej stronie.

- Dziękuję - wyszeptała Bernadette.

Grający do tańca zespół, usytuowany naprzeciw schodów, grał jazz, a Alex prowadził Bernadette po parkiecie z lekkością, która sprawiała jej prawdziwą przyjemność. Wiele par tańczyło i Bernadette przyglądała się ostrożnie każdemu mężczyźnie, którego mijali, ale żaden z nich nie był Dantonem.

- To muzyka dla starszego pokolenia – zauważył sucho Alex. - O jedenastej zacznie inny zespół i będziemy mieli prawdziwy beat dla podniesienia temperatury - jego głos przeszedł w pełen gorzki szept. - Cholera! Jeszcze jeden!

- O co chodzi? - zapytała Bernadette.

Skrzywił się.

- Wolałbym być oryginalny. Mamy już trzech Ludwików XIV: ja, następny chętny do przejażdżki na małżeńskiej karuzeli Alicji i jeszcze jeden drań, który właśnie wszedł.

Bernadette uśmiechnęła się sama do siebie, ledwie spojrzawszy na nowo przybyłego. Jednego była pewna. Danton Fayette dołoży wszelkich starań, żeby być oryginalnym.

Ale mijała godzina za godziną, a Bernadette go nie widziała. Tańczyła z wieloma mężczyznami, a w przerwach między tańcami obchodziła całe towarzystwo zebrane w sali balowej i w patio, ale jej poszukiwania były daremne. A Alex stawał się coraz bardziej rozgoryczony, ponieważ liczba Ludwików XIV urosła do pół tuzina. Jeden z nich obnosił połyskującą broszkę w kształcie lilii wpiętą w żabot, której na pewno Alex mu zazdrościł, bo nawet jeśli była zrobiona tylko ze sztucznych kamieni,

stanowiła charakterystyczny, wyróżniający szczegół.

Danton chyba specjalnie starał się przybyć późno, żeby ją rozdrażnić. Bernadette zdecydowała się udać do gotowalni, aby sprawdzić swój wygląd. Poprawiła włosy i wróciła w pobliże schodów, by spojrzeć na dół na tłum. Ale ciągle nie dostrzegła nikogo nowego w gromadzie rozbawionych gości.

Kobieta z haremu była nadal uwieszona u boku Gerarda... tak samo przez cały wieczór. Bernadette przypuszczała, że jest to Tammy Gardner, obecna kochanka jej ojca, której udawało się utrzymać go przy sobie dłużej niż innym, bo przez ponad dwa lata. Bernadette mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jak długo udawało się to jej matce, ale natychmiast zdusiła tę myśl.

Gdzie, do diabła, był Danton?

Przypomniała sobie to, co mówił ojciec, że Danton nie uznaje żadnych reguł, i poczuła, że traci cierpliwość. Postanowiła, że zastosuje ten sam chwyt co on, i zamiast wrócić na salę balową podeszła do drzwi, które prowadziły na wielki otwarty taras, wznoszący się ponad patiem.

Lekki wiatr od strony portu był bardzo orzeźwiający. Pragnęła zdjąć maskę, ale nie odważyła się na to ryzyko. Nie może dawać Dantonowi przewagi... gdyby w poszukiwaniu jej nagle tu przyszedł. Musi gdzieś przecież być. Ale w jakim przebraniu? Zawsze ukrywa jakieś karty w rękawie, jak twierdził jej ojciec.

Bernadette rozważała to wszystko, zbliżając się do balustrady zamykającej balkon i spoglądając na światła po drugiej stronie portu, zbyt pochłonięta swymi myślami, by je naprawdę widzieć.

Ukryty - to było kluczowe słowo. W jaki sposób udawało się Dantonowi przed nią ukryć.

Skrzypnięcie krzesła przestraszyło ją i obróciła się gwałtownie. Jeden z Ludwików XIV - Alex? - podniósł się leniwie z bambusowego fotela w odległym, zaciemnionym kącie tarasu.

- Czekam na panią, Bernadette.

Głos Dantona! Zaszokowana Bernadette nie mogła wydobyć z siebie słowa, gdy zbliżał się do niej, a poniżej maski błyszcząły w uśmiechu jego białe zęby.

- Mogę teraz powiedzieć, że zwyciężyłem - powiedział z pełnym bezczelności zadowoleniem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bernadette czuła palącą, bezsilną złość. Pokonał ją, ale jej zdaniem, nie całkiem uczciwie.

- Od kiedy się pan tu ukrywa?

Był rozbawiony i śmiał się z triumfem.

- O nie, nie, moje wschodzące światło dnia! Proszę tylko nie próbować tłumaczyć. Nie przyjmę żadnego z nich. Przyszedłem na ten taras, kiedy pani udała się do gotowalni. Poza tym można mnie było bardzo łatwo zobaczyć, odkąd się tu zjawiłem parę godzin temu.

Rozłożył ręce z błazeńską przesadą.

- Miała pani wszystkie szanse, żeby mnie zidentyfikować: tańczyłem koło pani trzy razy, stałem razem z ludźmi, którym się pani przyglądała, brałem szampana z tacy kelnera jednocześnie z panią i za każdym razem prześlizgnęła pani po mnie wzrokiem.

Nie było wątpliwości, że mówił prawdę. Jedno, co mogła zrobić, to tylko umniejszać jego zwycięstwo.

- Teraz rozumiem, że przeceniłam pana, Dantonie. Wierzyłam, że jest pan prawdziwą indywidualnością. Widzieć pana jako jednego z wielu - to dla mnie bolesne rozczarowanie. Nie było warto robić tego pojedynku.

Jego uśmiech świadczył, że uwagi Bernadette nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

- A któż to sprawił, że było ich aż tylu, jak myślisz, Bernadette. Uwierz mi, to nie przypadek. Słowo tu czy tam... sugestia... serdeczna rada. Muszę przyznać, że to nie był oryginalnie mój pomysł - Edgar Allan Poe ukrył list, którego wszyscy szukali w najbardziej oczywistym miejscu - a ja sprytnie to wykorzystałem.

Ukryty! Teraz zrozumiała, co miał na myśli ojciec. Danton był niesłychanie sprytny, robił, co chciał, i używał innych, aby się za nimi ukryć. Ta lekcja podziałała na nią otrzeźwiająco, uświadomiła jej bowiem, jak łatwo udawało mu się manipulować

innymi ludźmi, aby osiągnąć swój cel.

- A jeśli idzie o indywidualność - wycedził – to pod tym względem też jestem w porządku. Grałem z tobą uczciwie, Bernadette. To ty po prostu nie zwróciłaś uwagi na znak. Jestem jedynym Ludwikiem XIV z fleur-de-lis.

Wskazał dłonią marszczony koronkowy żabot, na którym ostentacyjnie lśnił francuski znak heraldyczny zrobiony ze wspaniałych diamentów. Bernadette pamiętała, że prześlizgnęła się po nich wzrokiem, uznając wtedy, że to zabawa - ale Danton na pewno nie nosiłby imitacji.

- Wiele kobiet zwróciło na nie uwagę - powiedział, podkreślając znowu z wyraźną przyjemnością jej porażkę.

Bernadette widziała dostatecznie dużo drogiej biżuterii, by mieć pojęcie, ile taka rzecz może kosztować, i była oburzona, że wydaje tyle pieniędzy jedynie dla kaprysu, na jeden wieczór!

- Co za marnotrawstwo pieniędzy. To musiało pana kosztować co najmniej sto tysięcy dolarów - odcięła z pogardą.

- O ile pamiętam, nie dostałem reszty... ale się opłaciło, bo udało mi się coś pani udowodnić... a na dodatek jestem pewien, że okaże się to dobrą inwestycją - jego usta zacisnęły się lekko w grymasie, który był zmysłowy i niepokojący zarazem. - Czy wreszcie dowiodłem, że mam rację?

Bernadette ciągle broniła się przed przyznaniem się do porażki.

- Czy tak się sam pan widzi, Dantonie? Jaki wspaniały Król-Słońce? - kpiła.

Znowu się zaśmiał.

- Francuz z pochodzenia, dekadent, grzesznik próżny, ekstrawagancki... Czy to nie tak mnie pan widzi, Bernadette? Niech pani sama przyzna, robiłem wszystko, żeby pani ułatwić zadanie.

W pewnym sensie miał rację. Ale ta charakterystyka umieszczała go na tym samym poziomie, na którym znajdował się jej przyrodni brat, Alex, a tymczasem charakter Dantona był znacznie głębszy, znacznie bardziej złożony... miał tyle warstw, których jeszcze nie poznała, które ledwie zaczęła dostrzegać. To było niepokojące spostrzeżenia, ale potwierdzały jej silne dowody. Wykorzystał nawet jej przyrodniego brata, by ją zmylić. Nadszedł czas, żeby zrewidować swoje sądy

- Nie. Nie tak pana widzę - powiedziała szczerze i spokojnie. Był o wiele bardziej niebezpieczny. Nie była nawet pewna, czy Rasputin i Mefistofeles był równie niebezpieczni.

Nie odpowiedział od razu. Jego milczenie i spokój stworzyły wrażenie dziwnego bezruchu, od którego zadrżało jej serce.

- A więc zmieniła się pani - powiedział łagodnie. I coś w jego głosie sprawiło, że zrodziło się w niej dziwne przyjemne uczucie. Ale umysł natychmiast przystąpił do obrony, wyczulony na każdy objaw słabości.

- To absurd - rzuciła. Jej zasady i ambicje nie zmieniły się ani na jotę od czasu, kiedy go poznała sześć lat temu.

Wzruszył ramionami, a następnie zaczął zdejmować swoją maskę.

- Wtedy była pani zajęta wyłącznie sobą. Wręcz obsesyjnie. - Zdjął perukę z długimi wijącymi się Sokami i położył ją razem z maską na szerokim oparciu balustrady. - Wspaniały umysł, myślałem, tylko ograniczony wskutek okoliczności.

Żartobliwy uśmiech pojawił się na jego ustach, gdy się do niej odwrócił i Bernadette

nie znalazła w jego lśniących czarnych oczach szyderstwa.

- Czerń i biel, Bernadette. Ale teraz nadchodzi świt świadomości... zrozumienie odcieni... i moją nagrodą jest prawo do zdjęcia twojej maski.

Używał metafor jej kostiumu jako broni przeciwko niej, a Bernadette była tak zaskoczona tym, jak ją oceniał - czyżby miał rację? - że dopóki jego ręce nie uniosły się ku jej twarzy, znaczenie ostatnich słów nie dotarło do niej. Zanim zdążyła się zastanowić, instynktownie uchyliła się przed jego dotykiem. Serce jej waliło jak oszalałe. Cofnęła się pół kroku i próbowała unieść ramię, żeby się osłonić.

- Nie przyznajesz mi zwycięstwa? - zadrwił.

- Jak mnie rozpoznałeś? - zażądała odpowiedzi, starając się zyskać na czasie, aby zapanować nad wszystkim, co się z nią działo.

- Szukałem kobiety, która się w tłumie wyróżnia. Była tylko jedna - odpowiedział po prostu.

- Było kilka wyróżniających się kostiumów.

- Ale tylko jeden taki, jaki ty mogłaś wybrać.

- Dlaczego? Skąd mogłeś wiedzieć?

- Ciemność - światło, noc - dzień, grzech - czystość, dobro - zło, rozpacz - nadzieja. Krzyczałaś do mnie. Wygłaszałaś kazanie. I zaofiarowałaś mi, co chcę teraz wziąć.

- Nie - wyszeptwała, wstrząśnięta, że tak łatwo ją rozszyfrował.

- Tak - powiedział niskim gardłowym głosem. Hipnotyzując ją wzrokiem zdjął jej maskę i odłożył na balustradę. - To jest łup zwycięzcy.

Otoczył jej talię ramieniem i przyciągnął ją bliżej, zamykając ją w swym twardym uścisku.

Bernadette wzniosła ręce w bezsilnym proteście.

- Nie! - krzyknęła w uniesieniu. - Tylko maskę! Na to się umówiliśmy.

Jego oczy lśniły, zatopione w jej oczach, gdy palcami przeczesywał jej włosy i bezlitośnie gładził kark.

- Bernadette, to jest zdjęcie maski – powiedział ochryplym głosem, nachylając się w jej stronę.

I nie mogła się przed nim uchylić. Był zbyt silny. I w jakiś sposób ten wymuszony kontakt z jego ciałem pozbawił ją sił. Jej biodra dygotały pod naciskiem jego silnych bioder. Jej brzuch drżał w przeczuciu jego męskich kształtów, przed którymi nie bronił jej cienki szyfon spódnicy i trykoty jej kostiumu.

Poddała się jego silnej, palącej namiętności i woli, opanowana przez doznania, jakie wzbudziła w niej ta bezwzględna inwazja. Jej palce przylgnęły do jego ramion, a potem przesunęły się ku górze i zanurzyły w gęstych wijących się włosach na tyle głowy, i tu zacisnęły się i przywarły. Jej ciało zbliżyło się jeszcze, chcąc wykorzystać całą intymność kontaktu.

Nie wiedziała, kiedy skończył się pocałunek. Wargi Dantona musnęły jej wargi - oddychał ciężko.

- Nawet ty ulegasz namiętności, Bernadette. Twój pocałunek jest równie słodki jak nektar bogów... ale znacznie bardziej oszałamiający.

Zanim udało jej się opanować, jego pełne wargi ponownie napotkały jej wargi, kształtując je, pieszcząc i wzbudzając w niej coraz więcej i więcej oszałamiających doznań, przenosząc ją w inną rzeczywistość w której nie należała już do siebie, w której musiała być z nim stopiona w jedno i nic innego się nie liczyło.

A potem jego ramiona przygarniały jej ciało, jego wargi muskały jej włosy i szeptały w pośpiechu:

- Na próżno z tym walczysz, Bernadette. Przyznaj sama: jestem dla ciebie tak samo podniecający jak ty dla mnie. Dlatego przyszedł na bal, dlatego ja przyszedłem., i oboje chcemy stąd wyjść. Wyjdź teraz ze mną. Bądź ze mną. Poznamy nasze głębie, poznamy wszystko, co można poznać... tak jak nikt nigdy jeszcze tego nie zrobił.

Tak, tak, tak... myślała w radosnym uniesieniu, dopóki nie odzyskała zdrowych zmysłów. Wspomnienie jego „wielbicielek” nagle wzbudziło w niej uczucia skrajnie przeciwne do pokusy, by przyjąć jego propozycję, i wraz z tym nadeszło otrzeźwiający poczucie wstydu, że tak łatwo i tak całkowicie poddała się jego władzy.

I ból - ból podeptanej dumy i naruszonej autonomii, ból kryjący się w stwierdzeniu, że jest powolna temu człowiekowi jak każda inna kobieta, ból świadomości, że on wie teraz, na co może sobie z nią pozwolić, ból rozrywający jej oszalałe serce na kawałki, ściskający jej klatkę piersiową stalową obręczą.

Och, nie... nie - protestowała rozpaczliwie, walcząc o oddech. Nie może przecież dostać teraz ataku astmy. Nie teraz! Nie przy nim!

Ale bez względu na wysiłki, symptomy nie ustępowały. To było nieuniknione. Nie mogła ich powstrzymać.

Opuściła ręce na jego ramiona i próbowała go odepchnąć. Ale jej mięśnie były jak z wody. Jej ciało wiło się w uścisku. Otworzyła usta, starając się rozpaczliwie chwycić trochę powietrza, ale gardło ściskał jej spazm.

- Bernadette? - spojrzał na nią z przerażeniem. Nie mogła mówić. Słyszała swój straszny chrapliwy oddech i poczuła upokorzenie i rozpacz. Uderzyła go, żeby ją puścił. Jego uścisk osłabł. Bernadette rozpaczliwie chwyciła małą torebkę wieczorową zawieszoną w przegubie dłoni, rozerwała sznurek, który ją zamykał i szukała lekarstwa.

Jej drżące palce zacisnęły się na opakowaniu. Wyrwała się z objęć Dantona, odwróciła się do niego plecami, wyginając się w spazmach. Okropny świszczący oddech wreszcie ucichł. Łzy wytrysnęły jej z oczu. Nie mogła znieść myśli, że musi w tak upokarzającym stanie stanąć teraz naprzeciw Dantona.

- Proszę - wykrztusiła. - Zostaw mnie. Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżał! Nigdy więcej! Jesteś najpodlejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam!

Delikatnie otoczył dłońmi jej ramiona, tak, że poczuła ciepło emanujące z jego ciała.

- Nie mów tak! - Mówił spokojnie, ale z naciskiem, zmuszając ją do uwagi. - Mogę ci pomóc, Bernadette. Uwierz mi. Mnóstwo ludzi cierpi na astmę. Przykro mi, jeśli to ja spowodowałem atak, ale skąd mogłem wiedzieć, zresztą jest już po wszystkim. Musimy iść naprzód, a nie wracać w przeszłość. Nasza znajomość...

- Jest skończona! Tak samo jak pojedynek! - Bernadette natarła z całą gwałtownością, na jaką mogła się zdobyć.

Jeśli sądzi, że namówi ją, by popełniła taki sam błąd jak jej matka, bardzo się mylił. Nigdy, nigdy, nigdy nie zostanie kochanką bogatego człowieka, bez względu na to, jak silne było pożądanie. Nienawidziła go za to, że wzbudził w niej rozwiązłą słabość.

- Wygrałeś! - powiedziała gorzko. - To już skończone! Proszę, odejź!

- Jeśli tak wygląda zwycięstwo, to przegrałem - wyszeptał znacząco, z uczuciem.

Obrócił ją tak, że stała teraz twarzą do niego, a ona nie czuła się jeszcze na tyle dobrze, by móc mu się przeciwstawić. Ale jej oczy błyszczały z wściekłością zranionej dumy.

- Zabierz ręce, Dantonie Fayette. Raz na zawsze!

Bo będę krzyczała z całych sił. I będziesz żałował tego dnia aż do śmierci!

Jego twarz natychmiast zeszywniała, a potem uragliwy szyderczy wyraz pojawił się znowu w jego wyrazistych czarnych oczach.

- W porządku - powiedział i również w jego głosie pojawiło się szyderstwo. Głowę odchylił do tyłu, jego oczy zwięzły się i zaczęły wysyłać błyskawice, które godziły prosto w jej duszę. - Jeśli tego właśnie chcesz.

Oboje dobrze wiedzieli, czego pragnęła kilka minut temu, i to przejęło ją dreszczem, a wstyd doprowadzał ją do szaleństwa.

- Dokładnie tego! - odkrzyknęła, z całą siłą broniąc się przed tym strasznym, bezrozumnym požądaniem.

Zdjął dłonie z jej ramion i uśmiechnął się spokojnym, leniwym uśmiechem z odrobiną rozbawienia.

- Nie możemy więc grać otwarcie - wycedził.

- Będę musiał postępować po swojemu. Twój upór nie pozostawia mi wyboru. Musisz dostać nauczkę

Jaką nauczkę? myślała Bernadette rozwścieczona jego arogancją. To on powinien dostać nauczkę, że nie może mieć każdej kobiety, która mu się podoba. Przynajmniej ona jedna nie stała się ofiarą jego chwilowej zachcianki.

Podszedł do balustrady, odwrócił się, oparł się o nią i skrzyżował ramiona.

- Twój ojciec chce kupić ode mnie wyspę - oświadczył leniwie, bez specjalnego zainteresowania. - Czy powiedział ci to?

- Tak - wyrzuciła Bernadette, zła na siebie za to, że ciągle pozostawała w jego towarzystwie, gdy jedyną rozsądną rzeczą byłoby odejść.

- Jest to jeden z kilku prawdziwych rajów, jakie zostały na tej ziemi - mówił łagodnie. - Ciągle nie skażony współczesną cywilizacją. Życie jest tam proste i szczęśliwe. Bez zegarów. Bez stresu. Bez napięcia.

- Tubylcy są prawie wyłącznie Polinezyjczykami czystej krwi. Szczególni ludzie,

naprawdę. Otwarci i przyjaźni. Myślę, że byś ich polubiła.

Zatrzymał się. Bernadette oszołomiła zmiana tematu i poczuła się dotknięta, że mógł tak łatwo, w ciągu minuty czy dwu, przejść od namiętnego pożądanego do chłodnego przeciwstawiania zalet swojej wyspy.

- Oczywiście ta sytuacja nie będzie mogła pozostać bez zmian, jeśli twój ojciec zbuduje tam wielki nowoczesny ośrodek turystyczny - Danton ciągnął dalej, jakby rozwiązał ten problem.

- Z drugiej strony muszę wziąć pod uwagę, że zaproponował mi ogromną sumę.

- Czy potrzebujesz pieniędzy, Dantonie? - rzuciła Bernadette z sarkazmem.

- Nie. Mówiąc szczerze, mój majątek wystarczy na kilka pokoleń - uśmiechnął się do niej jak rekin po udanym posiłku.

I tym właśnie był! Gładkim, żarłocznym rekinem. Bernadette odwróciła się, by odejść, wściekła na siebie za to, że mógł jej się choć trochę podobać.

- Zaczekaj! - powiedział rozkazująco.

Nie wiedziała, dlaczego go nie zignorowała, ale jej stopy przestały się poruszać, a zdradzieckie serce zamarło w oczekiwaniu.

- Proszę, odwróć się - powiedział niskim, przekonującym głosem, który jeszcze skuteczniej pozbawił ją resztek własnej woli.

- Dlaczego? - domagała się odpowiedzi, pragnąc to skończyć, a jednocześnie niezdolna się poruszyć.

- Ponieważ chcę widzieć twoją twarz.

- Nie. - Było ją stać przynajmniej na tyle niezależności.

- Mam dla ciebie propozycję. Wyprostowała się.

- Nie jestem zainteresowana.

- Propozycja związana z interesem.

Jej ciekawość została podrażniona do tego stopnia, że chciała usłyszeć, co miał do powiedzenia. Skoncentrowała się na tym, by jej twarz nie wyrażała nic oprócz chłodnego zainteresowania. Następnie obróciła się, bardzo powoli, wyprostowała z godnością.

Danton nawet nie drgnął. Na jego twarzy malował się wyraz bezlitosnej obojętności, oczy były dziwnie nieprzeniknione. Żadnego szatańskiego rozbawienia, żadnego szyderstwa, żadnego niebezpiecznego błysku, tylko intensywne skupienie i uwaga, które nie zdradzały tego, co myśli.

- Propozycja związana z interesem? – powiedziała z kpina i niewiarą.

Jego wargi wygięły się nieznacznie.

- Jak wiesz, twój ojciec chce kupić moją wyspę. Mam zamiar tobie pozostawić decyzję, czy mam mu ją sprzedać, czy nie.

- A więc decyduję na korzyść mego ojca! - odrzuciła, nie zatrzymując się, by się zastanowić, reagując raczej przeciw Dantonowi niż na korzyść ojca.

- Czy tak wygląda twój rzetelny osąd, Bernadette? - zapytał z zimnym, przenikliwym wyrazem twarzy, a jego wargi zacisnęły się w grymasie ponurej bezwzględności.

- Jest jeden warunek, zanim twoja decyzja stanie się ostateczna.

I nagle niebezpieczny błysk znowu zjawiał się w jego oczach. Bernadette zeszywniała instynktownie oczekując i przygotowując się na atak.

- Na miesiąc... musisz przyjechać i żyć na wyspie. Kiedy ten miesiąc się skończy... jakkolwiek podejmiesz decyzję... czy Te Enata ma przejść w ręce twego ojca, czy nie... ta decyzja będzie wiążąca i nieodwołalna. Jeden miesiąc twojego życia, Bernadette, aby zdecydować o przyszłości wyspiarzy. Oto moja propozycja!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bernadette nigdy nie słyszała równie niedorzecznej propozycji. Było to zupełnie pozbawione sensu... Jedno było tylko jasne, że Danton próbuje manipulować nią albo całą sytuacją, aby uzyskać jakieś korzyści dla siebie czy ludzi mieszkających na Te Enata.

- To, co mówisz, jest absurdalne - rzuciła, mając nadzieję, że zmusi go jakoś do szczerych wyjaśnień.

- Być może - w dalszym ciągu zachowywał niewzruszony, apatyczny spokój i pewność siebie.

- Dlaczego przedstawiasz mi te śmieszne propozycje? - chciała wiedzieć i zmusić go, by odkrył karty.

- To służy mojemu celowi.

Było coś szczególnego w sposobie, w jaki na nią patrzył... czyżby przeblysłk chęci posiadania? Czy posunąłby się tak daleko - ryzykując przyszłość wyspy

- po to tylko, by uzyskać od niej to, czego pragnął? Chyba było to posunięte zbyt daleko, zbyt lekkomyślne, noszące znamiona obsesji.

- Z pewnością zamierzasz być na wyspie w czasie tego miesiąca, kiedy ja tam będę? - zapytała sucho, z szyderstwem.

- Oczywiście - odpowiedział, w ogóle nie zmieszany. Uśmiechał się spokojnie, leniwie, w sposób, który sprawiał, że dostawała gęziej skórki. - Nie chciałbym, żebyś coś przeoczyła, Bernadett. Mam zamiar służyć ci wszelką pomocą w podejmowaniu decyzji.

- Wykorzystując ten czas na to, by mnie uwieść - prychnęła w jego stronę. - Tak to sobie wyobrażasz.

- Poddaje się tylko kobieta, która chce być uwiedziona, Bernadette - mówił jedwabnym głosem.

- Oczywiście, jeśli nie możesz sobie zaufać... jeśli sądzisz, że nie uda ci się trzymać

swych... zasad... przez miesiąc - jeden krótki miesiąc - to rzeczywiście powinnaś odmówić.

Prowokował ją do nowego pojedynku.

- Czy spodziewasz się, że będę z tobą mieszkać? - zapytała Bernadette, by mieć już cały obraz sytuacji.

- A chciałabyś? - rzucił, unosząc jedną brew w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie - odpowiedziała stanowczo.

- Więc będziesz miała osobne mieszkanie.

Ale na pewno ją dosięgnie. Bernadette nie łudziła się w tej kwestii. Będzie ją ścigał wszelkimi dostępnymi środkami. A ona jest podatna na jego urok. Chciałaby może udowodnić, że jej zasady mogą się przeciwstawić jego urokowi, ale on będzie walczył o zwycięstwo, a ona nie może mieć pewności, że w którymś momencie nie przegra. I co wtedy? Teraz stawka jest wyższa. Przegrana może kosztować ją więcej niż tylko utratę dumy. Ceną może być jej ciało i dusza!

- Nie. Nie pojedę - powiedziała zdecydowanie.

- Co za szkoda! - rozłożył ręce i wyprostował się, jakby go to więcej nie obchodziło. - Twój ojciec przewidział, że tak odpowiesz - rzucił od niechcenia.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że mimo to cię zapytałem.

- Mój ojciec? - głos Bernadette stał się przenikliwy, myśli kłębiły się jej w głowie.

- Przedstawiłeś tę propozycję mojemu ojcu?

- Tak. Dziś po południu - odpowiedział tak, jak gdyby cała sprawa nie miała już znaczenia. Odwrócił się, wziął swoją perukę i maskę, jakby zapominając o wszystkim. Co oczywiście udowodniało niezbiecie, jak niewiele mu na niej zależało. Chodziło mu jedynie o to, aby zabawić się nowym podbojem.

Jeśli zaś idzie o ojca, Bernadette aż trzęsła się z oburzenia, że mógł omawiać podobne propozycje z Dantonem Fayette. Ta wyspa nie była mu przecież potrzebna

do niczego. Posiadanie wyspy było jedynie zaspokojeniem jego wybujałej ambicji. Część jego wielkiego planu.

Jedno mu trzeba było przyznać - wiedział przynajmniej, że ona się nie zgodzi, ale Bernadette nie miała żadnych wątpliwości, że Alicję czy Alexa zmusiłby bez skrupułów, by stali się elementem przetargu. Pionki w grze! Kupione jego bogactwem i trzymane w kieszeni na podorędziu. Dzięki Bogu, że ona miała dość rozumu, by nie wpaść w tę pułapkę.

Danton podniósł jej maskę i podał jej.

- Czy wrócimy na salę balową? - W jego czarnych oczach zalśniły diabelskie przebliski, gdy dodał: - Twój ojciec na pewno się niepokoi naszą długą nieobecnością.

- Czekać na potwierdzenie mojej odpowiedzi, bo chyba o to ci chodzi - odcięła się gorzko.

Zacisnął wargi jakby w zastanowieniu.

- Kto wie? Ciekawe, jak zareaguje.

- Owszem - syknęła aż kipiąc wrogością. Zaśmiał się cicho, w sposób, który spowodował, że dostała niemal gęsiej skórki. Ruszył w stronę drzwi, otworzył je i wskazał jej drogę ręką w błazeńskim półukłonie, szyderczo podejmując swoją rolę Ludwika XIV, choć nie zadał sobie trudu włożenia peruki i maski.

Bernadette nie zwracała sobie głowy maską. Chociaż nie było jeszcze północy, dla niej bal był już skończony. Przemknęła koło Dantona trzymając wysoko głowę i zbiegła ze schodów, nie czekając na niego.

Na widok ojca stojącego u podnóża schodów w towarzystwie dziewczyny z haremu zgrzytnęła zębami. Na co czekał? Żeby zobaczyć, czy wygrała pojedynek z Dantonem Fayette, czy też żeby się zorientować, do jakiego stopnia może mu się przydać przy kupnie wyspy, którą tak bardzo chciał mieć?

Wniosek z tego wieczoru płynął tylko jeden: nie będzie już nigdy więcej miała nic do

czynienia ani z ojcem, ani z Dantonem Fayette.

Nie zaczęła jeszcze schodzić, gdy ojciec obrzucił ją zaniepokojonym spojrzeniem. Zdjął maskę. Jego twarz zwieńczona białym zawojem szeika wydawała się pozbawiona koloru. Była szara i zmęczona. Przyglądał się przez chwilę nieprzyjaznej twarzy Bernadette, a następnie przeniósł wzrok ponad jej ramię. Bernadette dobrze wiedziała, że Danton był jeden lub dwa kroki za nią, ale ignorowała jego obecność. Z Dantonem Fayette skończyła raz na zawsze!

Na twarzy ojca pojawił się nagle wyraz zaciętości i determinacji. Zaczął wchodzić na stopnie i doszedł do środkowego podestu, na którym właśnie znalazła się Bernadette. Rzucił wzrokiem na jej skamieniałą twarz, a następnie skierował się ku Dantonowi, który stał o stopień wyżej, górując nad nimi wszystkimi.

- Powiedziałeś jej... o wyspie. Prawda? Mimo, że prosiłem, żebyś tego nie robił? - oskarżył go gniewnie Gerard.

Danton uśmiechał się.

- Oczywiście. Wybór należał do niej w tym samym stopniu, co do ciebie, Gerardzie - od powiedział obojętny na nie skrywaną wściekłość gospodarza.

Gerard zwrócił się ku Bernadette z oczami pełnymi gorącego uczucia.

- Nie chcę, żebyś wyszła, Bernadette. Odrzuciłem propozycję Dantona dzisiaj po południu. Może sobie zatrzymać tę przeklętą wyspę na zawsze! Ty znaczysz dla mnie nieporównanie więcej.

Chwycił jej rękę, jakby pragnąc potwierdzić w ten sposób szczerą uczuć.

- Przysięgam, że mówię prawdę. Uwierz Bernadette, że nie mam w tym żadnego udziału. Naprawdę żadnego!

Bernadette odwróciła się w stronę Dantona. Uśmiechał się cynicznie, a w jego czarnych oczach znowu tańczył diabelski ogień. Wierzyła ojcu. I była gorąco oburzona złośliwym rozbawieniem Dantona. Celowo dał jej do zrozumienia, że ojciec był zainteresowany jego propozycją. Chciał zadawać ból... niegodziwa zemsta za to, że go odrzuciła.

Zranił boleśnie jej dumę, zrobił głupca z jej ojca, wprowadził go w błąd, dając mu do zrozumienia, że wyspa jest na sprzedaż, a była to tylko zwykła manipulacja.

Zraniona duma spowodowała, że Bernadette podjęła gorące postanowienie. Nie może pozwolić na to, żeby Dantonowi udało się pokonać ich oboje, i w związku z tym pozostaje jej tylko jedna droga, żeby wyrównać rachunki. Musi zmienić zdanie i przyjąć jego propozycję. Teraz to sprawa honoru!

Podniosła głowę. Oczy jej płonęły, kiedy rzucała mu wyzwanie.

- Moja praca kończy się w przyszłym tygodniu. Przyjadę na Te Enata na cały miesiąc...

- Nie! - wtrącił się Gerard. - Nie rób tego, Bernadette. Nie znasz go tak dobrze jak ja.

- Pojadę, ojciec - powiedziała krótko, nie spuszczać oczu z Dantona. - Bez względu na to, jaka będzie moja decyzja, będzie wiążąca i nieodwołalna - ciągnęła przedrzeźniając jego własne słowa. - Nie zapominaj o tym, Dantonie. Chcę zobaczyć umowę sporządzoną przez prawnika i podpisaną przez ciebie, zanim opuszczę Sydney.

- Będzie tak, jak sobie życzysz - powiedział.

Bernadette uśmiechnęła się z lodowatą uprzejmością, i obiecała:

- I przysięgam ci teraz... decyzji, na jakiej ci zależy, Dantonie... nie wydam, nawet gdybyś błagał na kolanach.

- Bernadette, zlituj się, posłuchaj mnie! - wykrzyknął Gerard z rozpaczą.

Bernadette gwałtownie przeniosła spojrzenie z Dantona na ojca i zobaczyła jego pełne udręki i troski oczy. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że mu na niej zależy. To nie była dla niego kwestia dumy. Jemu naprawdę na niej zależy!

Ścisnęła jego dłoń w przyływie serdecznego uczucia.

- Nie martw się o mnie. Wiem, co robię. Pokręcił głową.

- Nie. Nie wiesz.

Nie sposób teraz wpłynąć na zmianę jej decyzji. Znał Bernadette zbyt dobrze, by nie doceniać siły jej postanowień. Zwrócił się w stronę człowieka, który tak bezlitośnie manipulował całą sytuacją, że on, Gerard, był bezsilny, i że swą stalową mocą, która pozwalała mu gromadzić władzę i bogactwo, powiedział:

- Niech cię diabli, Dantonie Fayette! Spróbuj tylko skrzywdzić moją córkę... z mojego powodu... a będziesz musiał się pilnować do końca życia.

- Gerardzie... - Danton pokręcił głową z wyrzutem.

- Nie denerwuj się. To dla ciebie niewskazane - powiedział łagodnie. - Zaufaj mi. Będę opiekował się twoją córką z największą troską. Rozumiem, dlaczego jesteś o nią zazdrosny. Jest rzeczywiście bezcennym skarbem - jego usta wykrzywił kpiący uśmiech. - Czy sądzisz, że mógłbym nie docenić takiej nagrody?

Potem uśmiechnął się do Bernadette, a jego czarne oczy załśniły w oczekiwaniu.

- Będę czekał na ciebie na Te Enata. Do zobaczenia za tydzień, Bernadette.

Uklonił się zamaszyście i zostawił ich, udając się sprężystym krokiem w stronę głównego holu.

Bernadette zwróciła się w stronę ojca, którego spojrzenie odprowadzało Dantona.

- Należą ci się ode mnie przeprosiny – powiedziała łagodnie.

Westchnął i odwrócił zmęczoną, napiętą twarz do Bernadette.

- Chciałbym... - duma usztywniła jego sylwetkę. - Być może kiedyś wysłuchasz mnie... bez uprzedzeń.

Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się, podszedł do poręczy i uchwycił się jej mocno, a potem wolno, ociężałym krokiem zaczął wchodzić po schodach.

- Gerard? - To była dziewczyna z haremu, która uniosła ku niemu twarz i odezwała się wysokim, pełnym niepokoju głosem.

Zatrzymał się na moment i spojrzał na nią w dół.

- Wszystko w porządku, Tammy. Niedługo zejdem znowu na dół. Zaczekaj tu na

mnie.

Bernadette patrzyła, jak z trudem wchodził po schodach, i nagle opanowało ją przerażenie: jego szara twarz... Danton ostrzegający, że zdenerwowanie jest dla niego niebezpieczne... Jeffrey, który wszędzie go woził, sugerujący, że powinna się z nim pogodzić, nim będzie za późno.

To serce!

Angina pectoris... arterioskleroza... jej medyczne doświadczenie podsuwało najrozmaitsze możliwości.

I może teraz potrzebuje pomocy? Czy ma tabletki na serce?

Zacząła natychmiast wchodzić za nim po schodach, ale dziewczyna z haremu złapała ją za ramię.

- Nie. Nie idź. On nie chce, żebyś za nim szła, Bernadette, nalegała pospiesznym szeptem.

- Jestem lekarzem - powiedziała krótko Bernadette, zniecierpliwiona tym, że ją zatrzymują, podczas gdy ojciec może potrzebuje pomocy.

- Jego lekarz jest tutaj. Służący może go wezwać, jeśli to będzie konieczne - padła szybka odpowiedź.

- Bernadette - proszę! On nie chce, żeby ktoś go widział w takim stanie. Nie chce nawet mnie. Musisz mi uwierzyć!

Ścisnęła jej dłonie, zakłopotana tym, że musi ją o coś prosić, ale powodowała nią troska o dobro Gerarda.

- Proszę, nie niepokój go więcej. Może nie udaje mi się ubrać tego w odpowiednie słowa. Może mną gardzisz za to, kim jestem, może nie... ale musisz wierzyć, że ja... kocham twojego ojca. Zrobiłabym dla niego wszystko. A ty... ty nie wiesz, co robisz, Bernadette. Nie chcę, żeby cierpiał...

Bernadette przyglądała się tej kobiecie z niedowierzaniem... kobiecie, która teraz świadczyła takie same usługi, jak niegdyś jej matka. Czowała do niej niechęć, a jej

słowa zaprawione były goryczą:

- Co pani może wiedzieć o cierpieniu?

Kobieta uniosła głowę i wyprostowała ramiona z nagłym poczuciem godności.

- Nie ty jedna cierpiałaś z powodu przeszłości - powiedziała wolno i stanowczo. -

Zrobiłabym

wszystko, żeby was ze sobą zbliżyć. I musisz przyznać, że z tym, co się wydarzyło, ja nie miałam nic wspólnego. To nie była moja wina.

- Czy pani sądzi, że to była moja wina? – odcięła się gniewnie Bernadette.

Kobieta obstawała przy swoim i ani drgnęła.

- Nie wiem. Wiem tylko, że on cierpi... z twojego powodu. A jest dumnym człowiekiem. I nigdy nie da po sobie poznać, że cierpi.

Dumny... tak, to Bernadette wiedziała bardzo dobrze. Ona też nie zdradzała przed nim swoich uczuć. Też nigdy by mu nie powiedziała, że jest chora. I to może być błąd. Bo jemu na niej zależało. Dziś wieczór dał temu dowód. Nie chciał, żeby zadano jej ból. I mimo tego wszystkiego, co się zdarzyło w przeszłości... był w końcu jej ojcem.

- Czy jest pani pewna, że ma dobrą opiekę? - zapytała.

- Tak! - padła natychmiastowa odpowiedź. - Ma najlepszego specjalistę. I ja opiekuję się nim na tyle, na ile mi na to pozwala. Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką.

- Czy to serce? - Bernadette chciała wiedzieć, czy jej diagnoza była słuszna.

- Tak. Ma chorobę wieńcową i uważają, że powinien poddać się operacji.

- Kto się nim opiekuje?

- Doktor Norton.

To był najlepszy specjalista od chorób serca, jakiego Bernadette знаła. Słuchała jego wykładów i widziała, jak operował. Ojciec był w dobrych rękach. Ocenivszy wszystkie informacje, jakie otrzymała, Bernadette odetchnęła z ulgą. Nie musi za nim

iść. Skierowała swoją uwagę na dziewczynę z haremu.

- Dziękuję za to, że mi to pani powiedziała. Zachowam to w tajemnicy.
- Dziękuję - westchnęła kobieta i z widocznym zmęczeniem zdjęła maskę.

Bernadette była zaszokowana, gdy zobaczyła, że Tammy Gardner była tylko o parę lat starsza od niej

- miała może trzydzieści lat, na pewno nie więcej. Jej twarz była bardzo miła, wyglądała świeżo. Nie tak, jak to sobie Bernadette wyobrażała.

Kobieta uśmiechnęła się ironicznie.

- Myślisz pewnie, że jestem za młoda, żeby go kochać. Ale go naprawdę Kocham.

Bernadette spojrzała z niedowierzaniem. Słyszała takie słowa już nie raz - uroczyste zapewnienia o czystej miłości nie skażonej przez chciwość - i zbyt wiele razy okazywały się one fałszywe, by mogła przyjąć je za dobrą monetę. Uważała, że prościej jest mieć do czynienia z ludźmi, którzy nie ukrywają swoich motywów.

- A więc to nie pieniądze? - zapytała cicho.

Uśmiech natychmiast zgasł i odpowiedzi towarzyszyła gniewna duma.

- Jeśli kiedyś będę musiała opuścić twego ojca, odejdę dokładnie z tym, z czym przyszedłam. Nikt nie będzie mógł postawić mi podobnego zarzutu.

Bernadette przyjrzała się jej jeszcze raz z uwagą - wierzyła jej. Odetchnęła z ulgą.

- Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić, proszę się nie obrażać. To jest coś... co mnie prześladowuje

- tłumaczyła się z bólem. Oczami szukała zrozumienia.

- Czy nie przeszkadza pani, że przed panią była cała rzesza innych? - zapytała, pamiętając ze smutkiem, że jej matka była jedną z nich.

- Jakie to ma znaczenie? Teraz jest mój.

Bernadette pokręciła głową nie będąc w stanie przyjąć tego sposobu widzenia rzeczy. Próbowwała jej coś wyjaśnić.

- Ale... nie ma zamiaru ożenić się z panią?
- Dlaczego mielibyśmy niszczyć to, co już mamy. Twój ojciec bardzo mnie lubi. Jak długo chce, żebym z nim była, tak długo będę. Jeśli to będzie tylko kilka lat, będę je wspominać z radością przez resztę mojego życia.

Szczerze przekonanie, z jakim zostały wypowiedziane te słowa sprawiło, że Bernadette całkowicie wyzbyła się swoich uprzedzeń. Były to sprawy, których nie rozumiała. Jej intelekt poszukiwał wyjaśnień, starała się ujrzeć je pod takim kątem, pod jakim ich nigdy dotąd nie badała.

Czy jej matka myślała tak samo jak Tammy?

Czy ona sama mogłaby żywić podobne uczucia do jakiegoś mężczyzny?

Ujrzała przez chwilę Dantona... co za udręka... budzącego w niej taką namiętność, że nic innego się nie liczyło.

Zadrzała.

Tammy położyła nieśmiało rękę na ramieniu Bernadette, a w jej pięknych zielonych oczach odbijała się mądrość, która przeczyła jej względnie młodemu wiekowi.

- Twój ojciec jest uczciwym człowiekiem, Bernadette. Nie jest bez wad. Ale każdy człowiek jego pokroju ma wady. Tacy jak on różnią się od zwykłych ludzi... takich jak ja. Popelniał błędy i teraz głęboko tego żałuje. I drogo za nie zapłacił. Drożej niż zwykli ludzie. Dla tych, którzy wspięli się tak wysoko, upadek jest bardzo bolesny. Ale jeśli kiedykolwiek do niego przyjdiesz, proszę cię, błagam, wyjdź mu naprzeciw.

Bernadette przetarła dłonią czoło starając się uporządkować splątane myśli.

Danton mówiący jej, że obsesyjnie myśli tylko o sobie... że okoliczności zwały jej horyzont... że widzi tylko czarne i białe.

Czyżby nie miała racji? Źle oceniała ojca?... może nie miała racji i w innych sprawach? Wydawało się jej, że wszystkie te wydarzenia nie miały zbyt wiele sensu. Nie dostrzegała w nich znanych sobie wzorców... takich, z którymi mogłaby się iden-

tyfikować.

- Bernadette? Czy wszystko w porządku?

- Tak. Jestem zmęczona. Myślę, że czas już na mnie. - Zdołała się zdobyć na przepraszający uśmiech. - Przepraszam panią, jeśli panią obraziłam. Dziękuję za rozmowę, Tammy.

Na twarzy Tammy pojawił się wyraz satysfakcji połączonej z zakłopotaniem.

- Cieszę się, że nie czujesz się obrażona.

- Ani trochę. Dobrze, że panią poznałam - powiedziała bez zastanowienia Bernadette, aby za chwilę zdać sobie sprawę z tego, że to była prawda. Uścisnęła dłoń kobiety i uśmiechnęła się. - Może się znowu spotkamy. Kto wie? Jeszcze raz dziękuję. Dobranoc. Dziękuję za wszystko.

Dostrzegła Alexa machającego do kelnera i domagającego się czegoś do picia. Ruszyła w jego kierunku, nie chciała bowiem, żeby uznano, że ma złe maniery, choć zapewne Alexa nic to nie obchodziło.

Zauważył ją i podszedł do niej wolno, wykrzywiając usta we wzgardliwym grymasie.

- Zdjęłaś maskę przed północą, to bardzo nieładnie, droga siostrzyczko. Przydałoby ci się trochę nauki w tych sprawach. Nie chcesz chyba przynieść wstydu rodzinie. Jako ekspert w tej dziedzinie zawsze chętnie udzielę ci rady.

- Dziękuję, Alex, ale nie zostanę dłużej. Chciałam się pożegnać - powiedziała szybko.

Wzruszył ramionami.

- C'est la vie! Powiem ci na ucho tylko jedno. Danton Fayette jest facetem nie godnym zaufania. Podszepnął mi wybór tego przekłętego kostiumu, a potem zjawił się w takim samym. Tyle że lepszym od mojego. To bardzo nieładnie.

- A więc oboje postąpiliśmy nieładnie - skomentowała ironicznie. - Dobranoc, Alex.

Bernadette odnalazła Alicję niedaleko wejścia do sali balowej i pożegnała się również

z nią.

- Odprowadzę cię i wezwę dla ciebie samochód
- powiedziała uprzejmie Alicja. Potem zaś, kiedy odeszły od innych gości, wyszeptała z niepokojem:
 - Czy coś nie w porządku? Ojciec będzie niezadowolony, jeśli...
 - Nie, wszystko w porządku - zapewniła ją sucho Bernadette. - Oprócz tego, że czerń i biel nabrały tylu odcieni, że wymagają dokładnych badań.

Z prawdziwą ulgą opadła na tylne siedzenie Rolls Royce'a z Jeffreyem za kierownicą.

- Wcześniej pani wychodzi, panno Bernadette - zauważył szofer, a jego oczy spoglądały badawczo na jej odbicie w lusterku.
- Nie tak bardzo - powiedziała zmęczonym głosem. - Czuję się tak, jakby całe moje życie stanęło mi przed oczami. Zawieź mnie, do domu, Jeffrey. Nie mam ochoty rozmawiać. Mam bardzo wiele spraw do przemyślenia.

Na przykład całe swoje życie!

Resztę drogi prowadził w milczeniu, a potem odprowadził ją na piętro, na którym znajdowało się jej mieszkanie. Kiedy otworzyła drzwi, uchylił czapki i uśmiechnął się do niej ze współczuciem.

- Dobranoc, panno Bernadette. Przykro mi, że ten wieczór nie był dla pani udany.

Westchnęła i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Może jednak był. Okaże się to z czasem. Dobranoc. I dziękuję.

Weszła do środka i zamknęła drzwi, ale towarzyszyła jej świadomość, że tego wieczora otworzyło się przed nią wiele innych drzwi... drzwi, których nie mogła po prostu zamknąć, i że musi przeanalizować i ponownie ocenić wszystko, co dotychczas myślała.

O swoich celach...

O swoich zasadach...

0 swoim ojcu...

I o Dantonie... Dantonie, który swoim subtelnym kuglarstwem przekształcił wszystko, co się dotąd wokół niej działo, cały jej uporządkowany świat - w coś zupełnie innego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Danton Fayette niczego nie pozostawił przypadkowi.

Rankiem, w dzień po Nowym Roku zjawił się u Bernadette jakiś człowiek z formularzami potrzebnymi do załatwienia wizy i prosił o jej paszport, aby załatwić wszystkie potrzebne formalności. Tego samego wieczora dostarczono jej bilet - miejsce pierwszej klasy na lot do Papeete dziesiątego stycznia. Tam ktoś będzie na nią czekał i prywatny samolot zabierze ją na Te Enata.

Do papierów dołączona była ręcznie napisana przez Dantona notatka: „Na wyspie nie ma lekarza. Jeśli chcesz być użyteczna, weź swoją torbę lekarską.”

To była mała prowokacja, jakże dla niego typowa. Pamiętała, że powiedziała mu sześć lat temu, z całą pogardą, na jaką umie się zdobyć młodzieńczy idealizm, że prowadzi on całkowicie bezużyteczne życie. Czyżby zraniła wtedy jego dumę? Czy chce jej teraz udowodnić, że jest inaczej?

Bernadette miała uczucie, że zamykają się za nią drzwi pułapki. Chciała wierzyć, że Danton Fayette nie jest typem człowieka zdolnego do użycia siły. Manipulacji - tak, ale nigdy siły.

Znała go teraz lepiej, wiedziała, co potrafi. Czy na pewno będzie mogła się obronić przed jego sprytnymi manewrami? Spędzenie z Dantonem miesiąca, to po prostu coś, przez co musi przejść. Jak przez semestr w szkole z internatem... albo przez serię egzaminów. Myślenie o tym w ten sposób pozwalało jej utrzymać równowagę, ale czasami, mimo tego całego rozumowania, żołądek aż bolał ją z napięcia.

Kiedy skończyła się jej tymczasowa praca, przez parę dni oddała się szaleństwu zakupów. Na cały miesiąc na tropikalnej wyspie potrzebowała pełnego zestawu niekrepujących ubrań, jakich normalnie nie nosiła.

Zadzwoił ojciec i ofiarował się z pomocą w organizowaniu wyjazdu, ale Bernadette powiedziała, że potrzebuje jedynie, by ktoś ją odwiózł na lotnisko Maskot rano w dniu odlotu. Prawda była jednak taka, że użyła tego jako pretekstu, by się z nim zobaczyć, ponieważ nie chciała prosić o to wprost. Chciała sprawdzić, czy ma się już

dobrze... i porozmawiać z nim w cztery oczy.

Zwyczaj, których człowiek trzyma się przez całe życie, nie zmieniają się łatwo. Bernadette nie mogła zdobyć się, by poprosić o spotkanie, tylko dlatego, że chciała z nim porozmawiać. Nawet gdy przyjechał po nią i towarzyszył jej na lotnisko, nie potrafiła zmienić utrwalonej przez lata formy rozmowy... szermierka słowna, która w niczym nie wyrażała ich uczuć.

Ale wyglądał dobrze. Walczył skutecznie. Nikt by nie zgadł, że ma problemy z sercem. Jego twarz miała zdrowy kolor, oczy mu błyszczały, poruszał się sprężysto, jak człowiek w dobrej kondycji. Miała nadzieję, że nic mu się nie przytrafi, kiedy jej nie będzie.

Jeffrey wniósł jej torby na lotnisko i życzył udanych wakacji.

Ojciec pomógł przy oddaniu bagaży i sprawdzeniu biletów.

Usiedli w salonie dla pasażerów pierwszej klasy, czekając na zapowiedź lotu na Tahiti. Nie powiedzieli sobie nic ważnego. Bernadette rozpaczliwie pragnęła zapytać, dlaczego zrobił jej taką krzywdę, chciała dowiedzieć się czegoś o matce, ale duma nie pozwalała jej na szczerość.

Zamiast tego pytała o Dantona Fayette, ponieważ musiała dać jakieś ujście wewnętrznemu napięciu.

- Powiedz mi wszystko, co o nim wiesz - zachęcała, z nadzieją, że wiedza o jego przeszłości może być pożyteczna w nadchodzącej walce. A będzie to walka... co do tego Bernadette nie miała żadnych złudzeń. Będzie musiała walczyć z własną słabością tak samo, jak bronić się przed siłą Dantona.

Gerard Hamilton pokiwał głową z aprobatą. Zawsze badał pochodzenie i historie ludzi, z którymi miał do czynienia. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i relacjonował to, co wiedział.

- Rodzina Fayette to rodzina handlowców i bankierów, mająca związki z paryskimi Rothschildami.

Danton studiował prawo, ale nigdy nie praktykował. Stał się poważnym finansistą w całkiem młodym wieku. Zdolni ludzie w tym fachu zazwyczaj osiągają sukces za młodu. Teraz ma około trzydziestu pięciu lat.

Dzieli ich więc prawdopodobnie dekada, pomyślała Bernadette. Nie może mu dorównać latami doświadczenia, ale nadrobi to siłą woli. Musi. Albo skończy jak matka... poddając się mężczyźnie typu jej ojca. A na to nie może pozwolić.

Ojciec ciągnął dalej, nie zatrzymując się:

- Kiedy go spotkałaś po raz pierwszy, Danton zakładał filie banków kredytowych, które miały działać w rejonie Pacyfiku: Tahiti, Noumea, Vanuatu, Brunei. Przez następne lata zwolnił nieco tempo swych operacji. Ma zarządzających w Szwajcarii, Holandii... - gestem dał do zrozumienia, że na tym nie koniec. - Danton Fayette w każdej grze jest o krok do przodu, Bernadette. Nie lekceważ go.

- Nie mam zamiaru - odpowiedziała udając więcej pewności siebie, niż jej naprawdę miała. Gdyby tylko nie wydawał jej się taki pociągający... - Czy był kiedykolwiek żonaty?

- Nie. Działa szybko i swobodnie. Wątpię, żeby interesował się dłużej jakąś kobietą. - Jego spojrzenie spoczęło na Bernadette. Zastanawiał się...

- A co z wyspą? - zapytała. - Musiałeś ją odwiedzić.
Potwierdził skinieniem głowy.

- Danton zaprosił mnie tam trzy lata temu. Tak jak to teraz widzę, wtedy właśnie zaczął rozwijać całą operację, aby mnie w nią wciągnąć. Ta Enata jest bardzo piękna. Idylliczna. Poza plantacją i jej zabudowaniami jest ciągle raczej prymitywna. Po jednej stronie jest tam tylko sklep, a po drugiej mała wioska. I chaty wyspiarzy. Wszystko sprowadza się tam łodziami.

- Plantacja? - odpowiedziała.

- Przestała przynosić już dochody. Danton nie próbuje nawet zarządzać tym jak normalnym przedsiębiorstwem. Plantacja zarabia tylko na własne utrzymanie i wypłaca pensje pracownikom.

- A w jaki sposób został właścicielem wyspy? - dopytywała się, bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z prawdziwej ciekawości. Wszystko to nie miało znaczenia. Ważne było tylko to, co się zdarzy między nią a Dantonem. Była głupia, że przyjęła jego wyzwanie. Było to prawdziwe szaleństwo narazić się na takie niebezpieczeństwo, a jednak... chciałyby... nie, teraz musi już jechać. To jest sprawa honoru.

- Wyspę dostał w spadku po swoim dziadku – ze strony matki - wyjaśniał ojciec. - Ten z kolei kupił ją przed Pierwszą Wojną Światową. Założył plantacje - kopro, cukier, ananasy... w swoim czasie robili masę pieniędzy.

Zmarszczył brwi.

- Ale to nie ma nic do rzeczy. Byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem, że wyspa jest na sprzedaż... za odpowiednią cenę. Gdybym ją ja miał, nigdy bym jej nie sprzedawał. W żadnych okolicznościach.

- On nie chce jej sprzedać - powiedziała Bernadette z całkowitą pewnością. - Danton zawsze robi coś przeciwnego do tego, czego się spodziewasz. Liczy na to, że mu się poddam.

Ich oczy się spotkały w całkowitym i zgodnym porozumieniu. Coś na podobieństwo uśmiechu przemknęło przez twarz Gerarda.

- Może się myliłem. A nuż możesz być dla niego partnerem. W taki czy inny sposób...

Bernadette zmusiła się do uśmiechu.

- Cieszę się, że we mnie wierzysz. A jaki ośrodek turystyczny masz zamiar wybudować, ojcze?

Chwile zajęło mu skupienie się na nowym temacie.

- Będzie oczywiście jakiś kompleks centralny, recepcja, restauracje, ośrodki rozrywkowe, pomieszczenia dla obsługi. Ale goście będą mieszkać w osobnych domkach. Kiedy się ma do dyspozycji całą wyspę, nie trzeba oszczędzać miejsca, a chciałbym zachować naturalny urok tego miejsca. Oczywiście trzeba będzie gdzieś zrobić korty tenisowe i pola golfowe. To niezbędne dla takich ludzi, jakich chciałbym tam przyciągnąć. Powinni być zachwyceni.

Bernadette pokiwała głową, zastanawiając się po cichu, co się stanie z mieszkańcami Te Enata i ich sposobem życia. To, co mówił Danton, miało sens. Była na Hawajach i wiedziała, że nie zostało tam nic z oryginalnej kultury oprócz szczątków zachowanych na pokaz dla turystów. Ale może wtargnięcie zachodniej cywilizacji w postaci ośrodka turystycznego jej ojca będzie ściśle ograniczone? Będzie nalegać na to, żeby tak się stało. Będzie jej się należało to ustępstwo ze strony ojca.

Zapowiedziano jej lot.

Wstali.

Gdy podprowadził ją do wyjścia, była świadoma każdego kroku, który robili, aż do bólu zdawała sobie sprawę, że czas ucieka, a ona nie powiedziała nawet małej części tego, co chciała. Było tyle rzeczy, które chciała wiedzieć. Zależało jej na nim. Ale jak miała to wyrazić? Jak się z nim porozumieć?

Zwlekali z pożegnaniem, podczas gdy kolejka oczekujących na wejście na pokład samolotu malała, ale ciągle nic nie mówili. Ostatni pasażer zakończył formalności

związane z wejściem na pokład i stewardessa spojrzała pytająco na Bernadette.

Bernadette odwróciła się sztywno do ojca i wyciągnęła rękę.

- Do widzenia. Dziękuję, że mnie odprowadziłeś. Jego ręka serdecznie ujęła jej dłoń.

- Uważaj na siebie, Bernadette.

- Ty również - powiedziała zachrypniętym głosem, ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem.

Zabrała rękę i taki żal ścisnął jej serce, że nie mogła odejść... nie powiedziawszy niczego. Odwróciła się i rumieniec zakłopotania pojawił się na jej policzkach.

- Wyjdiesz mi na spotkanie, kiedy będę wracać?

- Oczywiście - zapewnił ją. I miał coś w oczach... coś o wiele serdeczniejszego niż duma.

Nie było czasu na powiedzenie niczego więcej, więc Bernadette, pragnąc zrobić jakiś znaczący gest, zbliżyła się do ojca i wycisnęła na jego policzku pocałunek.

Nie obejrzała się, gdy szła do wyjścia. Nie obejrzała się ani razu. Gerard patrzył za nią, dopóki nie zniknęła w korytarzu prowadzącym do samolotu. W oczach pojawiły mu się łzy, ale było mu wszystko jedno, czy to ktoś zobaczy.

Topniały nagromadzone przez dwanaście lat lody. Nie było nic ważniejszego od tego.

Dotknął policzka, w który go pocałowała.

Za miesiąc wyjdzie jej tutaj na spotkanie... wyjdzie powitać swoją córkę w domu. Za nic nie ma zamiaru umierać na stole operacyjnym dra Nortona, ma przecież tyle powodów do tego, żeby żyć! Poza tym jego serce ma się świetnie. Od bardzo dawna nie czuł się tak dobrze.

I Bernadette poczuła się lepiej. Rozsiadła się wygodnie w fotelu pierwszej klasy i przyjęła kieliszek szampana z rąk stewardessy. Czuła się spokojna i pogodzona ze sobą samą, bardziej, niż przez cały ostatni tydzień, bardziej, niż przez wszystkie ostatnie lata. Kiedy wróci do domu będzie serdeczna dla ojca i będzie z nim szczerą...

wyjdzie mu na przeciw, jak powiedziała Tammy Gardner.

A na razie musi się skoncentrować na tym, co ją czeka... Danton... i miesiąc z nim na Te Enata. Jak ma walczyć z jego urokiem? Nie może pozwolić mu na zwycięstwo. Tym razem nie. Musi mu pokazać, że bez względu na to, co on zrobi, ona będzie się trzymała swoich zasad!

Trwający sześć i pół godziny lot na Tahiti minął jej szybciej, niż się spodziewała. Ciągle jeszcze nie ułożyła konkretnego planu działania - ani obrony - gdy odrzutowiec wylądował na lotnisku Faaa. Kiedy przechodziła przez formalności celne, podszedł do niej mężczyzna, który przedstawił się jako Alain Perdrier, pilot mający ją przewieźć na Te Enata.

Był późny ranek i gdy opuszczali międzynarodowe lotnisko, tropikalny, wilgotny upał uderzył ją jak fala. Bernadette żałowała, że nie pomyślała o tym, aby wypytać ojca o mieszkanie na plantacji. Miała nadzieję, że była tam klimatyzacja. Miała także nadzieję, że jej ubranie będzie ciągle wyglądać porządnie, kiedy dojedzie na Te Enata.

Na tę pierwszą konfrontację z Dantonem wybrała bardzo modny biały komplet ze spodniami zrobionymi z mieszanki lnu i sztucznego włókna. Żakiet miał krój koszulowy z luźnymi długimi na trzy-czwarte, zgrabnie wywiniętymi rękawami. Do tego założyła żółtą podkoszulkę bez rękawów i sandały z białozółtymi pasków.

Strój uzupełniał miękki biały kapelusz od słońca, pięknie przybrany żółtym, zwracającym uwagę szalem. Bernadette upięła na karku swoje długie jasne włosy w kok, tak, żeby móc założyć kapelusz trochę na bakier. Chciała wyglądać jak dobrze zorganizowana zdyscyplinowana kobieta, która potrafi się odpowiednio znaleźć w każdej sytuacji. Niedostępna... pod każdym względem.

Jednakże jej plan na pełne dostojęstwa przybycie załamał się, gdy stwierdziła że odbędzie lot hydroplanem. Stała wobec konieczności wsiadania i wsiadania z malutkiej łódki, gdy wchodziła i wychodziła z samolotu. Alain Perdrier wyjaśnił jej, że na Te Enata nie ma pasa startowego. Podróżuje się tam albo łodzią, albo hydroplanem, ale lecieć jest lepiej. Trwa to tylko godzinę.

Bernadette poddała się temu, co nieuniknione. Weszła do rozchybotanej łódki, głęboko wdzięczna losowi, że jej sandaalki nie mają wysokich obcasów. Posepie upierała się przy kapeluszu, gdy pruli przez wodę do samolotu. Bez względu na to, jak niewygodna była ostatnia część podróży, była zdecydowana wnieść się ponad wszystkie przeciwności i zachować przed Dantonem niewzruszony spokój.

Czterdzieści pięć minut później ukazała się wyspa, i kiedy podlecieli bliżej, wyglądała jak przepyszny klejnot w morzu.

Była otoczona krawędzią białej, rozbijającej się o rafy koralowe piany. Wody laguny były opalizująco zielone i w pobliżu brzegu przechodziły w kolor jasnoturkusowy, kontrastujący z bezbarwnym żwirem plaż. Roślinność była żywozielona i tak bujna, że wyglądałaby jak dżungla tropikalna, gdyby nie poruszane wiatrem palmy w pobliżu brzegów.

Bernadette nie dostrzegła żadnych śladów ludzkich osad oprócz kilku dużych chat skupionych w pobliżu długiego mola.

Hydroplan szybko się obniżył i wylądowali na wodach laguny. Ludzkie figurki wybiegły na plażę i spuściły na wodę czółna. Bernadette miała nadzieję, że nie będzie musiała wsiadać do żadnego z nich, aby dostać się na ląd. Samolot posuwał się po wodzie w kierunku mola i w końcu zatrzymał się całkiem od niego blisko. Jeden z tubylców wiosłował łodzią w kierunku samolotu i Bernadette odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie było to czółno!

Gdy wsiadła do łódki, czółna otaczały ją wkoło, a tubylcy rzucali do niej naszyjniki z kwiatów i wołali *Bienvenue* i *Haer mai*, co Bernadette uznała za polinezyjskie powitanie. Zaszokowało ją, że pod kwietnymi naszyjnikami dziewczęta miały nagie piersi. Wszystkie! A mężczyźni mieli na ramionach i piersiach zdumiewającą ilość tatuaży.

Po kilku chwilach oszołomienia Bernadette zawiesiła dwa naszyjniki z wonnego jaśminu na szyi. Ich kolor nie kłócił się jej ubraniem i nie chciała też nikogo obrazić. Resztę założyła na przegubie dłoni. Wszyscy się uśmiechali i byli tym wyraźnie uszczęśliwieni.

Kiedy spojrzała na molo, zobaczyła czekającego na nią Dantona. Pojawił się nie wiadomo skąd. Ale nie był tym gładkim wyrafinowanym mężczyzną, którego znała.

Na biodrach, jak tubylcy, miał jedynie opaskę w jaskrawy biało-czerwony wzór. Podkreślało to ciemną opaleniznę jego aż nazbyt nagiego ciała; pięknego, męskiego ciała.

Bernadette nigdy przedtem nie użyła słowa „piękny” w odniesieniu do żadnego mężczyzny, ale teraz wkradło się ono i utkwiło w jej myślach. Jego ciało było jędrne, a skóra gładka i lśniąca. Gibkość i zwierzęcy wdzięk jego ruchów przykuwały jej wzrok.

Bernadette nagle przypomniała sobie, co mówił sześć lat temu - jego fascynację zmysłowością - ale wtedy był w błędzie i jest w błędzie teraz. Nie uda mu się narzucić jej reguł postępowania na następne trzydzieści dni. Nie stanie się „kobietą tubylczą”.

Łódka uderzyła o molo w pobliżu drabinki. Danton schylił się i pomógł jej wspiąć się po szczebelkach. Gdy chwycił jej przegub, serce jej zaczęło bić szybciej. Bez względu na walkę, która ich czeka... którą muszą odbyć... był jedynym mężczyzną, którego obecność powodowała takie reakcje i wprawiała ją w takie podniecenie.

Opanowała się dopiero wtedy, kiedy stanęła pewnie na molu i napotkała rozbawione spojrzenie jego niegodziwych oczu.

- A więc jednak przyjechałaś - powiedział cicho i przesunął wzrokiem po jej stroju od góry aż do stóp i znowu spojrzał na kapelusz. - Nawet jeśli tylko w tym celu, aby stoczyć walkę - dodał kpiąco.

Bernadette zaczekała, aż jego oczy spotkały się z jej wzrokiem i uśmiechnęła się z pogardą - do niego i wszystkiego, co reprezentował.

- Nie spodziewaj się sympatii z mojej strony, Dantonie. Nie obchodzisz mnie ani ty, ani twoje idee. Jedyne powód, dla którego tu jestem, to to, że chciałabym zrobić coś dla mojego ojca.

Jego rysy stwardniały.

- Jako twój gospodarz nie będę się z tobą spierał.

Uniosła pytająco brwi.

- Nie masz chyba zamiaru, próbować mnie nakłonić do zmiany zdania?

- O, w wielu kwestiach - zacisnął usta. - Ale nie poprzez spory. Chodźmy... - Chwycił ją lekko za ramię i poczęli iść wzdłuż mola. Drugą wolną ręką wskazywał otoczenie. - Te Enata będzie dla ciebie wspaniałym doświadczeniem. Znam tylko dwa miejsca na świecie, które mają cudowne właściwości lecznicze... gdzie ci, co zostali zranieni, mogą się wyleczyć. Szwajcaria jest jednym z nich - jego spojrzenie prowokacyjnie szukało jej wzroku. - Wyspy Tahiti są drugim.

- Czy sugerujesz, że ja jestem zraniona, Dantonie? - powiedziała oschle, z nutą szyderstwa w głosie. - Że coś jest ze mną nie w porządku?

- Kto z nas jest doskonały? - odpowiedział enigmatycznie. - Spójrz wokół siebie, Bernadette. Nerwice i tabu stworzone przez nasze wyrafinowane zachodnie społeczeństwo nie kłopotują tych ludzi. Mężczyźni i kobiety żyją tu w zgodzie ze swoją cielesnością, zadowoleni z prostego życia... - spojrzał jej prosto w oczy. - Czy możesz o sobie powiedzieć to samo?

Starł się specjalnie ją speszyć. Bernadette potrząsnęła głową.

- Nie mam żadnych fobii - powiedziała wymijająco.

Mały chłopczyk wbiegł co sił w nogach na molo i Danton uwolnił Bernadette, aby złapać go i podnieść wysoko do góry, a następnie posadzić sobie zachwycone dziecko na ramieniu.

- To, co jest tu najważniejsze - mówił, a jego wzrok wbijał się w nią uporczywie - to dzieci. Są cenione bardziej niż wszystko inne. Nie są niczyją osobistą własnością, która może być zaniedbywana lub pielęgnowana w zależności od kaprysu. Są darem Boga, który kochać muszą wszyscy.

- To bardzo ładnie - powiedziała opryskliwie i rumieniec gniewu oblał jej policzki, ponieważ Danton zrobił aluzje do jej własnej przeszłości. - Czy jesteś ojcem tego

chłopca, który może być tak spokojnie pozostawiony opiece innych?

- Tak, w pewnym sensie - powiedział bez cienia zakłopotania. Opuścił chłopca na ziemię i ten skwapliwie zeskoczył z mola, by dołączyć do grupy innych dzieci bawiących się w wodzie. Danton powrócił spojrzeniem do Bernadette.

- Jestem ojcem ich wszystkich. Ale nie w tym sensie, o jaki ci chodzi - powiedział spokojnie.

- Kiedy naprawdę będę miał dzieci, będę je miał z kobietą, której pragnę najbardziej ze wszystkich. I z moją żoną i dziećmi pozostaniemy razem...w sposób, w jaki naprawdę się to liczy... do końca życia.

Bernadette nie miała na to gotowej odpowiedzi. Znowu spowodował, że zachwiały się jej wcześniejsze o nim wyobrażenia. Czy był naprawdę zdolny do stałości? Wierności? Czy była to kuglarska sztuczka w grze prowadzącej do uwiedzenia jej?

- Uwierzę, gdy to zobaczę, Dantonie - powiedziała.

- Szczególnie, gdy spotkam twoją żonę. Jego oczy znowu patrzyły na nią zaczepnie.

- Ciekaw jestem, jaką ty byłabyś matką, Bernadette?

- Nie sądzę, żebym kiedyś wyszła za mąż - powiedziała krótko.

- Oczywiście, że nie - zakpił. - To by znaczyło, że pogodziłaś się z faktem, że jesteś kobietą.

Bernadette zacisnęła usta, odmawiając chwycenia przynęty. Typowy męski szowinista, pomyślała z wściekłością, a ona nie ma zamiaru dać się wciągnąć w głupią seksistowską dyskusję.

- Ale Te Enata wywrze na ciebie magiczny wpływ. Tu zrozumiesz, że jesteś kobietą. Przede wszystkim kobietą - powiedział, celowo biorąc jej milczenie za znak zgody. - Nic nie jest pewniejsze od tego.

I tak obiecując... czy też grożąc... sprowadził ją z mola na swoją wyspę.

Obraz Dantona Fayette jako czynnego filantropa, troszczącego się o jej dobro,

srowadzającego ją na swą wyspę na miesiąc, aby zagoiły się jej „rany” - był dla Bernadette nie do przyjęcia. W końcu dobrze wiedziała, jak umiał zwodzić. Wcześniej czy później odsłoni swoje prawdziwe oblicze, a ona musi czuwać, by zachować jasność spojrzenia, by wiedzieć, kiedy to nastąpi. I by móc sobie poradzić.

- Zabiorę cię do twojej chaty, żebyś mogła rozpakować się przed lunchem - powiedział, prowadząc ją do jeepa.

- Chaty? - Bernadette zgrzytnęła zębami. - Ale ty masz tu dom, Dantonie - powiedziała z naciskiem.

- Mówiłaś, że chcesz mieszkać osobno, więc będziesz miała osobne mieszkanie. - Niegodziwe rozbawienie lśniło w jego oczach. - Widzisz, jestem w porządku. Dotrzymałem słowa.

A więc tak mu zależy na tym, żeby jej było dobrze, myślała z wściekłością. Ale nie będzie się z nim kłócić i nie będzie go błagać. Dała taki warunek i bez względu na to, jak prymitywna będzie jej chata, będzie w niej mieszkać, nawet gdyby miała tam umrzeć. To tylko miesiąc, powiedziała swojemu przerażonemu sercu.

Na słońcu upał był obezwładniający i Bernadette chętnie przyjęła pomocną dłoń Dantona, gdy wsiadała do jeepa. Jego płócienny dach przynajmniej dawał nieco cienia. Ubranie lepilo się na niej, tak było parno. Im szybciej przebierze się w coś lżejszego, tym lepiej. W chacie z całą pewnością nie ma klimatyzacji!

- A co z moim bagażem? - zapytała, gdy Danton sadowił się na miejscu kierowcy. Spojrzenie w dół na molo uświadomiło jej, że jest właśnie wyładowywany z łódki.

- Będzie przyniesiony jak można najszybciej - powiedział.

- Wolałabym poczekać teraz - powiedziała Bernadette z determinacją. Wystarczy, że będzie mieszkać w chacie. Nie ma zamiaru siedzieć godzinami w ciężkim ubraniu i czekać aż przyniosą jej bagaż. Danton wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

Nagle zaterkotał silnik hydroplanu i mały samolot zaczął rozpędzać się do startu. Bernadette obserwowała, jak prześlizgnął się po lagunie i oderwał od wody. Gdy

unosił się do góry, poczuła z całą ostrością, że jest odcięta od świata, który znała.

I Danton wcale tego nie ukrywał:

- Teraz nie ma dla ciebie ucieczki z wyspy, Bernadette - powiedział zmuszając ją, by na niego spojrzała. W jego czarnych oczach lśniła głęboka satysfakcja. - Cokolwiek się zdarzy, nie ma dokąd uciekać! Nie ma kogo wołać. Twój ojciec nie może cię uratować. Przez cały następny miesiąc jesteś moja.

ROZDZIAŁ ÓSMY

A więc... nareszcie ukazał swe prawdziwe oblicze. Żadnej subtelności, żadnych ukrytych kart. Jeśli to miało być jego wspaniałe pociągnięcie -' będzie się musiał jeszcze wiele nauczyć. Przynajmniej o niej. I Bernadette była gotowa, by zacząć dawać mu lekcje. Już sama jego- arogancja sprawiała, że płonęła ze złości.

- Nie wyobrażaj sobie, że jestem tu jakimś więźniem, Dantonie - rzuciła zjadliwie. - I nie myśl, że możesz ze mną zrobić, co zechcesz. Pamiętaj, że los tej wyspy jest w moich rękach. Chcę wprowadzić tu parę podstawowych reguł...

- Cóż za świetny pomysł!

Jego rozbawienie rozgniewało ją jeszcze bardziej.

- ... twojego postępowania na czas mojego pobytu! - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Uśmiechnął się zachęcająco.

- Bardzo proszę.

Wzięła głęboki oddech, by ostudzić swój gniew.

- Po pierwsze, w żaden sposób nie będziesz ograniczał mojej swobody poruszania się. Bez względu na to, w jakim celu stworzyłeś te sytuację, mam zamiar dotrzymać słowa, ale będę robić na tej wyspie, co będę chciała, i chodzić, gdzie będę chciała.

- Naturalnie. Jak tylko urządzisz się w swojej chacie, zostawię ci tego jeepa. Używaj go do woli.

To szczodre i niespodziewane ustępstwo przygasiło gniew Bernadette. Zerknęła na niego podejrzliwie. Czarne oczy patrzyły na nią znowu.

- A po drugie - podpowiedział i zacisnął usta we właściwy mu, zmysłowy sposób.

- Po drugie - Bernadette zgrzytnęła, ciągle nie poddając się jego urokowi. - Nie przybyłam tutaj, by stać się twoją osobistą własnością. Więc jeśli spodziewasz się, że ci się uda ze mną przespać, lepiej przemyśl to sobie jeszcze raz, Dantonie, bo różne rzeczy mogą się zdarzyć, ale to... na pewno nie.

Ponura kpina zastąpiła rozbawienie.

- „I wierna sobie pozostań”, Bernadette - wyrecytował cicho, ale urągliwie.

Wyprostowała dumnie szyję i powiedziała pogardliwie:

- Taka właśnie jestem. Warto, żebyś w to wreszcie uwierzył.

Uniósł brwi w odpowiedzi na to wyzwanie.

- Nie zaprzeczaj więc nieuniknionej prawdzie, że staniemy się kochankami.

- To nie jest nieuniknione!

- Wiesz, że jest - kpił. - Zawsze to wiedziałaś. Tak samo jak ja. Od pierwszej chwili, gdyśmy się spotkali.

Ta zdumiewająca wypowiedź na chwilę obezwładniła Bernadette.

- To niedorzeczne! - zdobyła się na słabą od powiedź, całkowicie zagubiona.

Z całą pewnością zdawała sobie sprawę, że jest podatna na urok Dantona, dostrzegała niebezpieczeństwo bycia uwiedzioną przez niego, ale czy kiedykolwiek świadomie pogodziła się z tym, że mogą zostać kochankami? Czy tego naprawdę chciała? W tej myśli było coś pociągającego, ale...

- To całkowicie niedorzeczne! - powtórzyła z większą już pewnością.

Danton posłał jej spojrzenie, które mówiło, że oszukuje sama siebie, ale więcej się nie odezwał. Gdy

chłopcy przynieśli jej walizki, kazał położyć je z tyłu samochodu. Kiedy zostały załadowane, zapalił silnik i pojechali bitą drogą, która tylko niewiele różniła się od zwykłej koleiny.

Bernadette odłożyła na jakiś czas analizowanie swojej duszy. Jedno było pewne. Nie ma najmniejszego zamiaru iść do łóżka z Dantonem Fayette tylko dlatego, że on tego chciał. Jeżeli się kiedyś na to zdecyduje... to dlatego, że tego chce. A tymczasem ma pilniejsze problemy... na przykład ta chata, w której ma mieszkać!

Przejechali kilkaset metrów, aż dojechali do rzędu jednopiętrowych domków pokrytych strzechami, które stały tuż przy plaży. Były ocienione drzewami i palmami, a rozdzielały je żywopłoty z hibiskusa zapewniające odosobnienie. Bernadette poczuła wielką ulgę, kiedy Danton skręcił z drogi i zaparkował jeepa przy jednym z nich.

„Chata” była niewątpliwie miejscowym produktem: konstrukcja zrobiona była z pni kokosa, ściany z bambusa, strzecha z grubej warstwy liści palmowych; ale dostrzegła, że podłoga zrobiona była z felcowanych desek, więc wyglądało to jednak dość porządnie. Nawet więcej niż porządnie, musiała przyznać, kiedy Danton wprowadził ją do środka.

Pochyły dach był bardzo wysoki, po obu stronach otwarty, tak że wpuszczał do środka łagodny wiatr, chłodzący całe pomieszczenie. Pokój frontowy był bardzo duży, długi chyba na siedem metrów, a szeroki na cztery. Był umeblowany jak salon, fotelami i kanapami z bambusa ozdobionymi kolorowymi wzorzystymi poduszkami. Podłogę ozdabiały rozrzucone dywaniki. Ogromny kosz wypełniony tropikalnymi owocami stał na dużym niskim stoliku. Krótki korytarzyk biegł ku tylnej ścianie i po jego prawej stronie znajdował się zlew, lodówka i rząd szafek.

Danton ruszył korytarzem otwierając drzwi po obu stronach. Jedne prowadziły do dobrze, nowocześnie wyposażonej łazienki, drugie do przestronnej sypialni z szafami w ścianie, toaletką, półką wypełnioną książkami i ogromnym łóżkiem.

- Jesteś zadowolona z mieszkania? - zapytał Danton, drażniąc się z nią swoim rozbawionym spojrzeniem.

- Bardzo wygodne, dziękuję - powiedziała Bernadette, zawracając do salonu i oddalając się od łóżka. - Ale gdzie będę gotować?

- Nie będziesz się zajmować takimi przyziemnymi sprawami. Na wypadek, gdybyś była głodna, coś do przegryzienia znajdziesz zawsze w szafkach i w lodówce. Tanoa i jej matka, Rosina, będą przynosić ci posiłki. Przedstawię ci je, kiedy przyjdiesz do mnie na lunch.

- A jak ciebie znajdę? Nie wiem, gdzie mieszkasz - przypomniała mu Bernadette.

- To proste. O krok stąd. W chacie po lewej stronie. - Błysnął zębami w uśmiechu i wyszedł na dużą werandę na froncie domu. - Przyniosę twój bagaż.

- Ale... - Danton schodził już ze schodków prowadzących z werandy, a ona podążała za nim w pośpiechu. - Dlaczego nie mieszkasz w swoim domu?

Odwrócił do niej uśmiechniętą twarz.

- To nie zapewniałoby nam dyskrecji, bo mieszka tam również kierownik plantacji. Jestem pewien, że to będzie ci bardziej odpowiadało. - Przechylił głowę z rozbawieniem. - Kiedyś - jeśli zdecydujesz, że to ja mam zostać na wyspie - zbuduję coś, co ci się będzie bardziej podobać. Ale póki co, zupełnie mi to wystarcza.

Serce Bernadette zamarło, gdy nagle uświadomiła sobie w całej pełni swoją sytuację. Danton ma zamiar zrobić wszystko, co w jego mocy, by ją uwieść i podkreśla bliskość ich kwater, ostentacyjnie lekceważąc jej uczucia w tej kwestii.

- Myślę, że twoją werandę od mojej dzieli zaledwie czterdzieści kroków - ciągnął dalej, jakby mierząc oczami ten dystans, zanim spojrzał na nią. - Albo vice versa. Jesteśmy, można to nazwać, bliskimi sąsiadami. Do pokonania tylko mała odległość... to nie powinno zająć ci wiele czasu... ani mnie.

Bernadette powstrzymała się od odpowiedzi, ale aż trzęsła się z oburzenia, że bawił się jej kosztem. Zastanawiała się z iloma kobietami postępował podobnie... nazywając ten uroczy domek chatą, żeby najpierw spodziewały się najgorszego;

udostępniając im osobną kwaterę, która była w zasięgu jego ręki. Nie było wątpliwości, że obecnie ona była kolejną kobietą na jego liście.

Patrzyła, jak idzie do jeeпа po jej bagaż, i zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco na myśl, że będzie ciągle świadoma jego bliskości. Chwycił jej walizki i mięśnie na jego plecach uwidoczniły się od wysiłku. Gwałtownie odwróciła wzrok i weszła znowu do salonu.

Czy to z powodu Dantona, czy też z powodu tropikalnego gorąca, tego nie wiedziała, nawet jej głowa była mokra od potu. Zdjęła kapelusz i rzuciła go na najbliższy fotel, a potem zsunęła z ramion żakiet z długimi rękawami. Już miał wylądować obok kapelusza, ale Bernadette zmieniła nagle zdanie i poszła do sypialni, by powiesić go w szafie.

Szafa nie była zupełnie pusta. Został w niej umieszczony kolorowy komplet pareu, widocznie przeznaczony dla niej. Na półce pod nim było kilka par rzemiennych sandałków ozdobionych muszelkami.

- W tym klimacie przepaski są znacznie wygodniejsze niż modne ubrania, Bernadette. Upał nie będzie ci tak dokuczał, gdy będziesz je nosić.

Głos Dantona zaskoczył ją. Zamierzała wyjść z sypialni, zanim wniesie jej bagaż. On tymczasem postawił jej walizki skutecznie blokując wyjście i nagle w dokuczliwym spojrzeniu jego czarnych oczu pojawił się bardzo niebezpieczny błysk.

- Sami... nareszcie - wycedził.

- Nie! - powiedziała ostro, starając się stłumić ogarniającą ją panikę, kiedy podszedł do niej.

- Czekalem na to tak długo.

W jej oczach płonął bunt, gdy on pokonywał dzielącą ich odległość.

- Dantonie, nie użyjesz przecież siły.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie będę musiał. Jestem pewien, że już przestałaś

być niewinną dziewczyną, Bernadette.

Gorący rumieniec oblał jej policzki, gdy usłyszała te aluzje do ich pierwszego dawnego spotkania.

- I co z tego, że przestałam? - przyznała - Nie...
- Więc przestań ze mną walczyć.
- Seks niczego nie rozwiązuje! - wyrzuciła gwałtownie. - Niczego nie rozwiązuje!
- Czy jesteś pewna? - zakpił.
- Tak, jestem pewna. Mam już to doświadczenie za sobą. A wszystko dzieje się w imię miłości - wykrzykiwała z goryczą, mając w pamięci mężczyznę, któremu nieopatrnie uwierzyła... na krótko.

Maska obojętności opadła z twarzy Dantona. Jego rysy skurczyły się, w oczach zalśnił głęboki, dziki gniew.

- Jakiś przeklęty idiota! To błąd żyć przeszłością Bernadette. W najlepszym wypadku, to brak rozwoju... stanie w miejscu... a życie polega na dążeniu do przodu, bez oglądania się za siebie, tak jak ty to robisz.

Podniósł rękę i lekko ścisnął jej ramię, podczas gdy jego spojrzenie zagłębiało się w jej oczach z pełną napięcia siłą.

- To nie jest złudzenie. Pragniesz mnie, tak jak ja pragnę ciebie. Powiedziałem: „I wierna sobie pozostań”, Bernadette. Trzymaj się swoich zasad. Nie oszukuj sama siebie. Powiedz mi, co naprawdę czujesz... nawet teraz przenika cię pożądanie... chęć poznania i odczucia tego, co może być między nami.

Jego ramię otoczyło jej talię. Nieskrywany i gwałtowny głód zalśnił w jego oczach i zanim Bernadette zdążyła otrzeźwieć po tym gwałtownym wybuchu namiętności, przygarnął jej ciało blisko swego.

Rozpaczliwie wparła dłonie w jego piersi, by go odepchnąć, ale on trzymał ją niemilosierdzie blisko.

- Nie potrzebuję cię! - protestowała rozpaczliwie. - Nie potrzebuję nikogo!

- Na pewno? - zapytał łagodnie i kusząco.

- Proszę... - przenikało ją drzenie, gdy czuła siłę jego bioder lgnących do jej bioder, a jego napięta męskość wprawiała ją w stan dziwnej i zatrważającej słabości. Nawet jej głos brzmiał niepewnie, gdy próbowała opierać się temu, co z nią robił. - Proszę, odejść... zostaw mnie samą!

Jego uścisk rozluźnił się nieco i Bernadette, korzystając z chwilowego osłabienia jego arogancji i pewności siebie, wyrwała mu się natychmiast.

- Nie chcę cię, Dantonie!

To był błąd! Jego wzrok stwardniał w niezłomnym postanowieniu, twarz stężała i jej rysy wyrażały nieugięte dążenie do celu.

- Twoje usta, Bernadette, ciągle wyrzucają słowa pozbawione znaczenia, podczas gdy powinny robić coś nieporównanie bardziej cudownego.

Spróbowała uchylić głowę, ale ręka jego zacisnęła się wokół niej, uniemożliwiając ucieczkę. Wbiła paznokcie w jego ramiona, ale on nie zwracał na to uwagi. Jego usta zamknęły się wokół jej warg z gwałtownością nie liczącą się z żadnym oporem. Zmuszona była poddać się pulsującej żądzy jego warg i bezwiedne, szalone podniecenie wzburzyło jej krew, pozbawiając jej tej odrobiny samokontroli, jaka jeszcze jej pozostała.

Całował ją, dopóki zapomniała, że powinna z nim walczyć. Rozchyliła wargi pod jego agresywną, twardą żądzą gwałcącej jej intymność i zatracając się w swych rozkołysanych zmysłach. Jej dłonie prześlizgły się bezwiednie po jego ramionach, wokół szyi i zanurzyły się w jego gęstych, kręconych, niesfornych włosach. Przycisnęła swoje piersi do podniecającego ciepła jego nagiej klatki piersiowej. I kiedy w końcu z zachwytem poddała się doznaniom, jakie w niej wzbudził, Danton odsunął się.

Bernadette otworzyła oczy w najwyższym zdumieniu. Głowę odchylił do tyłu i oddychał ciężko. Spojrzał na nią twardo lśnięcymi oczyma.

- Teraz mi powiedz, że mnie wcale nie pragniesz!

Zaprzecznij swoim zmysłom... i uświadom sobie, że kłamiesz, Bernadette!

Spojrzała na niego, zbyt wstrząśnięta, by coś powiedzieć, nienawidząc go, że doprowadził ją do takiego stanu, a następnie na zimno i z premedytacją wykorzystał jej nieświadome reakcje jako broń przeciwko niej.

- To się na tym nie skończy, Bernadette. Przygotuj się na to, co się wydarzy w ciągu następnych trzydziestu dni. Nie przyjmę odmowy jako odpowiedzi. Będę cię całował, dokąd się nie poddasz, więc wcześniej czy później będziesz musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

Puścił ją i Bernadette straciwszy oparcie zachwiała się.

- Zostawię cię teraz... byś mogła posmakować tej samej męczarni, jaką ja odczuwam – powiedział w drodze do drzwi. Zatrzymał się, by rzucić na nią surowe spojrzenie. - Kiedy będziesz gotowa na lunch, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Zostanę tutaj! - rzuciła, rozwścieczona tą zabawą w kotka i myszkę.

- W porządku - powiedział obojętnie. - Przyślę ci jedzenie. Ale nie wyobrażaj sobie, że możesz się chować cały miesiąc, Bernadette. Przede mną, czy... przed samą sobą.

Rzuciwszy to na pożegnanie zostawił ją samą, żeby mogła zastanowić się nad sytuacją bez żadnych złudzeń, że ma nad czymkolwiek kontrolę.

„Najniebezpieczniejszy człowiek, jakiego znam” powiedział jej ojciec i Bernadette żałowała, że nie wzięła tych słów bardziej na serio. Upadła na łóżko czując się całkowicie pokonana. Nie było sensu się okłamywać. Bez względu na to, jak go nienawidziła, i bez względu na to, jak zdecydowanie odmawiała mu nad sobą władzy, Danton Fayette był siłą, z którą musiała się liczyć.

Pozostawało pytanie, jakie postępowanie ma teraz przyjąć, ponieważ co do jednego miał rację: wcześniej czy później będzie musiała stawić mu czoła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Poszukując ukojenia w swoim bezsilnym gniewie, Bernadette zrzuciła ubranie i przeszła korytarzem do łazienki. Pysznic był wystarczająco duży, by pomieścić swobodnie dwie osoby. To wygodne, pomyślała kwaśno, zastanawiając się, czy podda się Dantonowi, by oszczędzić sobie walki z własnymi, zdradzieckimi instynktami.

Pokusa była silna - pod względem fizycznym nikt nie wzbudzał w niej aż takiego pożądania - ale umysł jej z całą zaciętością bronił się przed myślą, że miałyby zająć pozycję najnowszej kochanki w życiu Dantona Fayette. Nie chciała dać mu satysfakcji dopisania jej imienia na tej liście.

Jeszcze godzinę potem, kiedy młoda polinezyjska dziewczyna zjawiała się na werandzie z tacą jedzenia, Bernadette czuła się utwierdzona w swej dumie. Dziewczyna powiedziała, że ma na imię Tanoa i wyjaśniła, że ona oraz jej matka opiekują się Dantonem i jego gośćmi. Bernadette cynicznie zastanawiała się, co wchodziło w zakres tej „opieki”.

Pareu Tanoy miało węzeł na biodrze, pozostawiając na widoku jej smukłe nogi, by nie wspomnieć o nagiej górnej części ciała, której mogłaby jej pozazdrościć każda kobieta. Wyglądała na około siedemnaście lat i była tak urocza, jak tylko może być młoda dziewczyna: wielkie, aksamitne oczy, nos, który tylko leciutko się rozszerzał, pełne, zmysłowe usta, wspaniała zasłona czarnych włosów sięgających do pasa, gładka, lśniąca jak jedwab, złocistobrazowa skóra. Miała na szyi wieniec z kwiatów hibiskusa, który pasował do wzoru na jej przepasce, i naszyjnik zrobiony ze sznurków małych białych muszelek, za którym prawie

- ale nie całkowicie - chowały się jej piękne nagie piersi.

Bernadette nie mogła wyobrazić sobie mężczyzny, który by nie pożądał tej dziewczyny. Czy Tanoa dzieliła łóżko z Dantonem? Prawdopodobnie tak, pomyślała. Pewnie każda kobieta, którą o to prosił, wyrażała zgodę, dodała w myśli, czując lekką panikę, gdy sobie uświadomiła, że i ona sama była beznadziejnie bezradna wobec tego pożądania. I, co gorsza, odczuwała w stosunku do Tanoy coś w rodzaju

zazdrości.

Tłumiąc te nieprzyjemne myśli, Bernadette próbowała porozmawiać z dziewczyną, gdy ta nakrywała do stołu. Na lunch składały się sałatka z kurczęcia, plastry melona i ananas oraz dzbanek lodowatego soku owocowego. Tanoa wydawała się szalenie nieśmiała. Bernadette z trudem wyciągnęła od niej parę słów, ale dziewczyna przyglądała jej się w sposób, który wprawiał Bernadette w zakłopotanie.

Po kąpieli założyła prostą, zwyczajną spódnicę i bluzkę bez rękawów, a włosy, żeby jej było chłodniej, upięła na czubku głowy. Wiele ubrań, które przywiozła, było zupełnie nieodpowiednich do sytuacji, w jakiej się znalazła, więc ich nawet nie rozpakowywała, ale z całą pewnością ta spódnica i bluzka nie miały w sobie nic niewłaściwego.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz, Tanoa? - zapytała w końcu rozzłoszczona. - Czy jest we mnie coś dziwnego?

- Jest pani tak piękna, że nie mogę się powstrzymać - odparła niewinnie dziewczyna.

- Myślisz że ja jestem piękna? - Bernadette wyszeptała z niedowierzaniem.

Dziewczyna pokiwała głową z głębokim przekonaniem.

- Pani oczy są niebieskie jak niebo. A pani włosy są jak promienie słońca rankiem. Ja mam szczęście, że moja skóra nie jest tak ciemna jak innych, ale mieć taką jasną skórę jak pani... - Westchnęła z zazdrością.

- Tutejsi ludzie bardzo to cenią. Ale nawet ci, co rozjaśniają swoją skórę, nie mogą mieć tak jasnej jak pani.

Bernadette pokiwała głową całkiem oniemiała ze zdumienia. A potem roześmiała się, gdy uderzyła ją dziwaczność tej sytuacji.

- Większość kobiet, które znam, oddałaby wszystko, żeby wyglądać tak jak ty, Tanoa - powiedziała, a następnie nie mogła powstrzymać się od pytania:

- Czy Danton nie powiedział ci nigdy, jaka ty jesteś śliczna?

Dziewczyna jakby nie rozumiała.

- Pan Fayette nie mówi ze mną o takich sprawach.

Bernadette skrzywiła usta.

- To wielkie zaniedbanie z jego strony.
- Jest bardzo zajęty pisaniem - wytłumaczyła Tanoa. Chyba nie ma aż tyle korespondencji do załatwienia,

pomyślała kwaśno Bernadette.

- Nawet wieczorami? - zapytała z powątpiewaniem.
- Nie wiem. Mama i ja idziemy do domu po podaniu wieczornego posiłku - brzmiała niewinna odpowiedź.

Bernadette to zawstydziło. Widocznie Danton nie był aż tak rozpustny, jak to sobie wyobrażała, a przynajmniej nie na Te Enata, bo w przeciwnym razie Tanoa na pewno zrobiłaby na ten temat jakąś uwagę.

- A czy jest jakiś mężczyzna, którego szczególnie lubisz? - zapytała, starając się wyciągnąć od niej coś więcej.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się.

- O, tak! Mam Momo. On jest bardzo przystojny i jest najlepszym tancerzem na wyspie. Zobaczy go pani dziś wieczorem na Tamaaraa.

- Tamaaraa? - zapytała Bernadette. - Czy to jakieś miejsce tu na wyspie?

- O, nie! To wielkie święto ze śpiewem i tańcami. Urządzamy ją na pani cześć, na powitanie pani na wyspie. Ja będę tańczyła z Momo. On jest wspaniały. Wszystkie dziewczęta mi zazdroszczą, że jest moim kochankiem.

- Twoim kochankiem - powtórzyła Bernadette trochę zdziwiona otwartością dziewczyny. - Nie masz zamiaru wyjść za niego za mąż?

Tanoa wzruszyła ramionami.

- Nie myślałam o tym. Mam tylko szesnaście lat.

- A jeśli będziesz miała dziecko?

Tanoa uśmiechnęła się.

- To by było dobrze. Moja przyjaciółka, Marita, będzie miała wkrótce dziecko.

- Czy jest mężatką?

- O, nie! Jest w moim wieku. Mężów wybierzemy sobie potem - powiedziała z zadowoleniem.

Bernadette zdecydowała, że będzie zgłębiać te kwestie potem. Zdawała sobie sprawę z tego, że polinezyjskie społeczeństwo nie tłumiło popędu seksualnego młodszych pokoleń; że młodzież zachęcano do tego, by zdobywała doświadczenie seksualne jeszcze przed zawarciem małżeństwa. Zastanawiała się, co by było, gdyby można było swobodnie cieszyć się seksem, bez żadnych zakazów i bez łączenia go z moralnością.

Dla kogoś takiego jak ona to niemożliwe, myślała z żalem, ale ile czasu spędził na tej wyspie Danton, kiedy dorastał pod opieką swego dziadka? Skoro jego stosunek do seksu i zmysłowości ukształtowany został tutaj, czy nie popełniała błędu oceniając go tak surowo?

Pokręciła głową zirytowana, że poświęca mu tyle uwagi, zamiast odpocząć od tych wszystkich problemów. Zapytała Tanoę, czy zaraz po lunchu nie przejechałaby się z nią jeepem po wyspie i dziewczyna zgodziła się radośnie.

Wyruszyły godzinę potem i Bernadette z ulgą opuściła chatę, oddalając się od człowieka, który tak ją denerwował.

Tanoa zaproponowała, żeby się zatrzymać przy dużych chatach w pobliżu mola.

- Tu jest sklep, targ i klinika - powiedziała z dumą.

- Opowiedz mi o klinice - poprosiła Bernadette, pamiętając, jak Danton wspominał, że na wyspie nie ma lekarza.

- Tam trzymane są specjalne lekarstwa - wyjaśniała Tanoa. - Matka Cantineaux, stara kobieta, która mieszkała na plantacji, dawała ludziom lekarstwa i pomagała w

różnych sprawach. Ona pokazała Ariitei, co robić, i teraz, jeśli ktoś jest chory albo się zrani, przychodzi do kliniki.

To babka Dantona - domyśliła się Bernadette i zastanawiała się, czy ta urodzona we Francji kobieta lubiła tutejsze życie.

Sklep był dokładnie tym, co obiecywała nazwa: było w nim wszystko - od podstawowych produktów spożywczych, poprzez garnki i patelnie do narzędzi i ubrań. Ten staroświecki zestaw towarów zaimponował i zafascynował Bernadette. Na myśl o tym, jak bardzo ten sklep różnił się od supermarketów, które znała, pokręciła głową.

Obok, zupełnie otwarta z jednej strony, stała wielka, przypominająca stodołę hala, z której rozpościerał się widok na lagunę. Była wypełniona miejscowymi towarami. Na prostych stołach leżały świeże owoce i warzywa, kapelusze i koszyki, naszyjniki i bransolety zrobione z muszelek, drewniane rzeźby.

- Ryby, z ostatniego połowu przyniosą później - mówiła Tanoë niesłuchanie dumna ze swojej roli tłumaczki i opiekunki Bernadette. Miejscowe kobiety były niezmiernie ciekawe gościa i chciały o niej wszystko wiedzieć.

Podczas gdy kobiety gromadziły się wokół Bernadette i zadawały jej rozmaite pytania, grupa młodych chłopców przybiegła z nad laguny, mówiąc że jeden z nich zranił sobie stopę o ostry kawałek koralowca. Ariitea kazała przynieść krwawiącego chłopca do kliniki. Bernadette spytała, czy może spojrzeć na ranę, wyjaśniając, że jest lekarzem i że spróbuje pomóc.

- Taote!

Okrzyk ten powtarzali ludzie stojący naokoło i każdy chciał zobaczyć prawdziwego lekarza przy pracy. Jak się okazało, stopa chłopca była przecięta na tyle głęboko, że należało założyć szwy i Bernadette posłała Tanoë, by przyniosła jej torbę lekarską z chaty.

Obmyła ranę do czysta z piasku i żwiru. Ariitea przyniosła butelkę środka dezynfekującego i gotowe do użycia bandaże. Tymczasem Tanoë wróciła i zgro-

madzona publiczność wykrzykiwała „ach” i „och”, gdy kilka szwów ściągnęło równo brzegi skóry.

Ariitea zabandażowała nogę i wszyscy klaskali, gdy chłopiec odchodził kulejąc i pęczniąc z dumy, że przecierpiał taką nadzwyczajną operację. Ariitea z entuzjazmem zaprosiła Bernadette do zwiedzenia kliniki i z dumą pokazywała zawartość dobrze zaopatrzonej apteczki. Uprzejmie zaprosiła taote do pomocy, kiedy tylko Bernadette będzie miała na to ochotę.

W końcu Tanoa odciągnęła Bernadette, pytając, czy nie zechciałaby zobaczyć Achimaa przygotowywany na wieczorną ucztę. Bernadette, będąc na początku tylko przedmiotem ciekawości, teraz stała się nagle ważną osobistością. Za nią i Tanoa ciągnął po plaży rosnący tłumek kobiet i dzieci, chcących przyjrzeć się z bliska taote.

Mężczyźni przygotowujący Achimaa byli zachwyceni, że znaleźli się w centrum uwagi i popisywali się jak dzieci, gdy Tanoa wyjaśniała Bernadette, jak działa piec ziemny.

Na dnie jamy ułożone były nagrzane kawałki skamieniałej lawy. Mężczyźni kładli na niej świeże liście banana, na co szły starannie zawinięte porcje jedzenia - kurczęta, ryby, taro, chlebowiec, słodkie kartofle i wiele innych jarzyn. Na to wszystko kładziono kolejną warstwę liści banana. Następnie mężczyźni rzucali znowu gorące kawałki lawy i przykrywali to wszystko ziemią i workami z juty.

- Trzy... cztery godziny -jeden z nich poinformował Bernadette triumfalnie.
- Jak się mówi „dziękuję” w waszym języku? - zapytała Tanoe Bernadette.
- Mauruuuru roa. -

Bernadette robiła wszystko, co mogła, by to powtórzyć. Wszyscy śmiali się zachwyceni i oklaskiwali jej próby.

- Będę musiała poćwiczyć - powiedziała i w odpowiedzi usłyszała radosne okrzyki zachęty.

Kiedy wracając do jeepa przechodziły koło targu, grupa kobiet wyszła Bernadette na spotkanie. Niosły dla niej dary: różowo-niebieskie pareu z miękkiej cieniutkiej

bawełny, świeży naszyjnik z kwiatów gardenii i taki sam wieniec upo' o do przybrania włosów.

- Tamaaraa - mówiły wszystkie chórem.
- To dla pani, na dzisiejszy wieczór - wyjaśniła Tanoë.
- Ale... - Bernadette ugryzła się w język. Starsze kobiety nosiły swoje przepaski zawiązane na ramionach i w ten sposób ona też mogła dostosować się do miejscowej mody, Nie chciała ich obrazić.
- Mauruuuru roa - spróbowała znowu, a twarze kobiet rozjaśniła radość.

W sumie było to niesłychanie przyjemne, swobodnie spędzone popołudnie, myślała Bernadette w drodze do domu. Wyspiarze byli otwarci i przyjaźni, tak jak mówił Danton. Bernadette poczuła, że chętnie pozna ich lepiej. I w końcu miała bezpieczny przedmiot do rozmowy z Dantonem na dzisiejszy wieczór.

Jeżeli cokolwiek mogło być z nim bezpieczne!

Ale nic nie było!

Tanoë spędziła sporo czasu ucząc Bernadette, jak nosić przepaskę. Dziewczyna z Polinezji nie mogła zrozumieć, dlaczego Bernadette tak nastaje, aby zakryć piersi, ale w końcu dała za wygraną. Bernadette nie miała ochoty iść na Tamaaraa prowokująco ubrana.

W końcu jeden ze sposobów zaprezentowanych przez Tanoë uznała za zadowalający. Środek materiału znajdował się na jej plecach, a jego końce przechodziły pod ramionami i były zawiązane z przodu. Zwisające końce węzła krzyżowały się pod piersiami i związane były znowu na plecach. Końcowy rezultat przypominał przewiewną sukienkę bez ramiączek wyglądającą bardzo ładnie i kobieco.

Ale bez względu na to, jak bardzo Bernadette chciała sobie wytłumaczyć, że przepaska wygląda równie skromnie, jak sukienka plażowa, kiedy Danton zaszedł po nią, by zabrać ją na Tamaaraa, czuła się bardzo skąpo okryta. Rozczesała swoje ciężkie włosy, by założyć na nie wieniec z kwiatów i gdy spojrzenie ciemnych oczu Dantona ogarnęło ją od stóp do głów, proste zadowolenie z własnego wyglądu

przeistoczyło się w znacznie bardziej ekscytujące uczucie.

On zamienił swoją czerwoną przepaskę na ciemnoniebieską i również miał naszyjnik z gardenii. To niepojęte, ale naszyjnik z kwiatów podkreślał jego męskość i Bernadette, chciała czy nie chciała, nie mogła zapomnieć ani jego dotyku, ani ślepego pożądania, które w niej wzbudzał.

Zatrzymała się przy wejściu do korytarza, a on stał w drzwiach, dłonią wparty we framugę, jakby nie chciał wejść dalej. Jedyne jego płonące spojrzenie pokonywało dzielący ich dystans i ogarniało ją tak intensywnie, że jej ciało przebiegła fala gorąca. Mówił cichym ochrypłym głosem:

- Wyglądasz jeszcze ładniej, niż wtedy, gdy miałaś osiemnaście lat.

W jego czarnych oczach nie było ani szyderstwa, ani kpiny i Bernadette czuła się znacznie bardziej bezbronna wobec takiego zachowania. Próbowwała zasłaniać się gniewem, przypominając sobie, jak arogancko insynuował, że zawsze chciała być jego kochanką.

- Tej nocy, w Hotelu „Mandaryn” jak mogłeś przypuszczać, że cię pragnę? Powiedziałam ci przecież bardzo wyraźnie, co o tobie myślę, Dantonie - wybuchnęła gwałtownym oburzeniem.

- Mogłaś mówić, co czuje twoja dusza, ale twoje oczy chciały mnie usidlić, i kiedy tańczyliśmy...

Wiedział to, mówiły o tym jego oczy, nie zapomniał niczego, choć tak bardzo chciała, żeby zapomniał.

- Mężczyzna zawsze wie, kiedy robi wrażenie na kobiecie. Tamtego wieczoru tak było z nami. Z pod niecenia miałaś rumieńce na policzkach, oddychałaś szybko i płytko i wydawałaś się oszołomiona. Serce waliło ci jak młotem. Ale jeśli chodzi o miłość - byłaś bardzo młoda, niewinna i niedoświadczona.

Z rozpaczą myślała, jak bardzo to się rzucało w oczy. Chociaż czuła do niego silny pociąg, jej wola nie miała z tym nic wspólnego. Gwałtowna chęć zaprzeczenia mu rozwiązała jej język.

- Jak ty zmieniasz fakty, Dantonie! - prychnęła. - Jeśli to prawda... jeśli byłam taka niewinna... dlaczego nie próbowałeś mnie wykorzystać? Jak to potrafisz wyjaśnić?

Jego wargi wykrzywiła łagodna ironia:

- Bo byś mnie za to znienawidziła. Potrzebowałam czasu, żeby zrobić to, co miałam w życiu do zrobienia. Nie było innego wyjścia. Musiałem ci dać ten czas.

Bernadette patrzyła na niego rozdarta pomiędzy wiarą i niewiarą.

- Dlaczego? Dlaczego musiałeś tak zrobić? - domagała się odpowiedzi, pragnąc zrozumieć powody, dla których kiedyś potrafił okiełznać swoje pożądanie a teraz nawet nie próbował.

Znowu maska obojętnej kpiny pojawiła się na jego twarzy.

- Z dziewczyną można się kochać. Ale tylko kobieta potrafi być kochanką - wycedził, a jego spojrzenie stało się bezczelne. - Teraz jesteś kobietą.

- To bez sensu - upierała się.
Wzruszył ramionami.

- Sześć lat temu powiedziałaś mi, co chcesz osiągnąć w życiu. Chciałaś zostać lekarzem i pomagać innym w potrzebie. Wiedziałem, że pracujesz społecznie w schronisku dla kobiet i pomagasz autystycznym dzieciom. Że sprzedajesz samochody, które ojciec daje ci w prezencie... i pieniądze przekazujesz na cele charytatywne. Pomagałaś nieszczęśliwym, którzy nie mogli płacić. Osiągnęłaś prawie wszystko, o czym mówiłaś...

Przerwał. Bernadette krępowano, że znał tyle szczegółów z jej życia, ale w milczeniu czekała na pointę, do której pewnie zmierzał.

- Teraz jesteś gotowa, by kochać - oświadczył z arogancką pewnością siebie.

- To jedyna sprawa, o jakiej myślisz, prawda? - rzuciła się do niego z pełną pogardy wściekłością.

- Tak samo jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się w Hong Kongu. Jedyna rzecz, o której potrafiła myśleć, to była miłość, miłość, miłość! Jak by nie istniało nic innego, co

warto robić w życiu i o co warto zabiegać. Nie zmieniłeś się ani odrobinę, Dantonie.

- Tak, pod tym względem - powiedział - nie zmieniłem się.

- Mówisz, że mnie wtedy pragnąłeś, ale twoje pragnienie było tak niestałe, że już następnego ranka byłeś z inną kobietą. I nie próbuj zaprzeczać, bo przecież wiesz, że cię z nią widziałam w holu hotelowym! - oskarżyła go z goryczą. - Ja nigdy nie będę gotowa na miłość w stylu dziś-tu-jutro-tam!

- A więc byłaś zazdrosna! - powiedział z satysfakcją, która doprowadzała ją do wściekłości. - Byłem w Hong Kongu załatwić pewien interes, Bernadette, i z tą kobietą spotkałem się wyłącznie w tej sprawie. To nie miało nic wspólnego z seksem. Ty po prostu chciałaś myśleć o mnie jak najgorzej. To było łatwiejsze, niż przyznać, czego naprawdę chciałaś.

- Czy nie widzisz, że stoimy na przeciwnych biegunach? - krzyknęła rozpaczliwie, by przerwać ten bezlitosny monolog. - Nigdy nie będziemy mieli ze sobą nic wspólnego, Dantonie!

- Możliwe - powiedział wolno. - Słyszałem, że rozpoczęłaś już na wyspie działalność dobroczynną. Zastanawiam się, co się stanie, kiedy nadejdzie moment wielkiej próby. Kiedy będziesz musiała podjąć decyzję w sprawie wyspy - jego wargi wykrzywiły się w prowokacyjnym grymasie. - Czy będziesz wtedy wierna swoim zasadom, Bernadette? Czy podejmiesz decyzję mając na względzie dobro wyspiarzy? Czy zatem zdecydujesz... przeciwko człowiekowi, którym, jak sądzisz, jestem... i na korzyść ojca, którego chcesz odzyskać?

Bernadette pokręciła głową w oszołomieniu.

- A więc wymyśliłeś tę... tę próbę... czy o to właśnie chodzi?... bo zraniłam sześć lat temu twoją dumę?

Zaśmiał się łagodnie, co poczuła jak ukłucie, i ruszył ku niej przez pokój. Ale jego oczy zadawały kłam temu śmiechowi i niedbalej postawie. Płonęły ogniem całkowitego i niezłomnego zdecydowania.

- Nie dlatego, że zraniłaś moją dumę, Bernadette.

Nie zostawiłaś na niej nawet siniaka. Ale zafascynowałaś mnie.

Bernadette wzięła głęboki oddech, rozpaczliwie starając się ukryć wrażenie, jakie na niej robił. To było gorsze niż los zahipnotyzowanego królika. Każdy nerw jej ciała drżał w oczekiwaniu, popychając ją naprzód, do wyjścia mu naprzeciw. Musi trzymać się od niego z daleka.

- A ty, Dantonie, kim jesteś? - rzuciła w jego stronę. - Z czego ty jesteś ulepiony? Odpowiedz!

Uśmiechnął się.

- To będzie twoja podróż w nieznane, Bernadette. Mam nadzieję, że tym razem nie zobaczysz we mnie takiego złoczyńcy, jak kiedyś.

Patrzyła na tego człowieka, który ją fascynował, wabił ją, przyciągał jak magnes - nadal przyciąga! Był niedbale pewien siebie, piekielnie mądry, nieznośnie pociągający i całkiem nie wykluczone, że zupełnie szalony.

Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń, zaciskając władczo i bezlitośnie mocne brązowe palce. Ale nie próbował chwycić jej w ramiona... ani pocałować.

- Chodź. Chodźmy na ucztę. Pojedziemy wzdłuż plaży.

Ulga, jaką poczuła, gdy udało jej się uniknąć pocałunku, ustąpiła miejsca... żalowi? Bernadette próbowała stłumić to uczucie, zaprzeczyć mu, ale choć przerażało ją, że nie panuje nad swoim ciałem, fascynowała ją siła, z jaką reagowała na Dantona.

Szła obok niego, czując się zagubiona bardziej niż kiedykolwiek. I o to mu właśnie chodziło, pomyślała.

Najpierw pozbawić ją pewności siebie, a potem pokonać!

Szli plażą w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Bernadette była zła na siebie, że szła tak posłusznie za nim. Powinna była pojechać jeepem... a on powinien pójść sam! A tymczasem szła... ciągnięta przez siłę, której nie potrafiła się oprzeć.

Oczywiście mogła w każdej chwili wyrwać mu swoją dłoń, ale nie była pewna, czy chce tego. Ale jednocześnie nie chciała pozwolić, żeby Danton myślał, że pogodziła

się z jego zamiarami. Z drugiej jednak strony, będzie bezpieczna przez następną godzinę lub dwie, kiedy będą na Tamaaraa, otoczeni wyspiarzami. A co zamierzał potem...

Ujrzała przed sobą całą skalę możliwości, o których nawet nie chciała myśleć. Potrzebowała jednak więcej informacji i, skoro Danton sam nic nie mówił, zaczęła pytać.

- Tanoa mówiła, że po uczcie dziś wieczorem będą śpiewy i tańce. A czy potem jest jeszcze coś w programie?

- Tak. - Danton posłał jej lśniące spojrzenie. - Zobaczysz tamure... czyli najbardziej zmysłowy taniec na świecie.

- Na pewno jesteś w tej kwestii ekspertem - odparła kwaśno.

Jego oczy z kolei kpiły z jej sarkazmu.

- Sama będziesz mogła ocenić.

Bernadette przeniknął dreszcz. Czy to był lęk, czy podniecenie? Jak to możliwe, że nienawidziła tego człowieka i jednocześnie go pragnęła? I co ma z tym wszystkim zrobić? Nie mogła odkładać rozwiązania tej kwestii na później. Musiała znaleźć odpowiedź na czas, kiedy będą wracać tej nocy plażą. Nie było bowiem wątpliwości, że Danton będzie od niej oczekiwał odpowiedzi!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nim zdążyli dojść do mola, otoczyła ich radosna grupa Polinezyjczyków. Poprowadzili ich w kierunku miejsca, które było niewątpliwie miejscem honorowym: pod drzewem, na końcu porośniętej trawą polanki tuż ponad plażą położono dużą matę utkaną z liści palmowych. Bernadette zauważyła, że wszyscy, mężczyźni też, nosili kwietne naszyjniki.

Jedzenie z Achimaa było podawane bardzo ceremonialnie. Wspaniałe zapachy unosiły się w powietrzu. Uczta dostarczyła Bernadette niezapomnianych wrażeń: wieprzowina była soczysta, marynowana ryba rozpływała się w ustach; próbowali pachnącego dymem chlebowca, tahitańskiego szpinaku, czerwonych bananów i innych jarzyn, które, jak wyjaśnił Danton, były typowym pożywieniem Polinezyjczyków. Na zakończenie, gdy podano tęczy zestaw tropikalnych owoców, Bernadette westchnęła z rozkoszą.

Danton uśmiechał się tym swoim łagodnym, leniwym uśmiechem, który zaciskał obręcz wokół jej serca.

- Najlepsze jest ciągle przed nami.

Bernadette odwróciła od niego wzrok i spojrzała na tubylców, którzy zapalali pochodnie wokół plaży. Słońce zaczęło zachodzić i szybko zapadał zmierzch. A Bernadette ciągle nie podjęła żadnej decyzji w związku z Dantonem.

Tłum zaczął wznosić głośnie okrzyki, gdy wyłoniła się grupa mężczyzn z najróżniejszymi instrumentami muzycznymi: drewnianymi i obciążonymi skórą bębnami i kilkoma ukelele. Ustawili się oni po jednej stronie i zaczęli grać po kolei, jakby się przedstawiali.

Na polanę weszła grupa kobiet. Usiadły w rzędach, w równej odległości od siebie.

- To jest apirima, taniec rąk - napomknął Danton.

Ukelele stanowiło główny akompaniament. Pełne gracji gesty i sposób, w jaki kobiety kołysały ciałem w takt muzyki zachwycił Bernadette. Wszystkie śpiewały, a ich głosy były delikatne, słodkie i dźwięczne. Pieśń skończyła się i bębny zaczęły

wybijać szalony rytm. Kobiety umknęły z polany, na którą wyskoczyła teraz grupa mężczyzn.

Nie mieli już na sobie pareu. Na biodrach mieli tylko skąpe białe przepaski. Długie pocięte liście zwisały z trzciniowych pasków opasujących ich szyje, ramiona i nogi poniżej kolan.

Rozpoczęli niesłychanie trudny taniec - w pół-przysiadzie balansowali na przednich częściach stóp, łącząc i rozłączając kolana ze zdumiewającą szybkością; silne mięśnie ich ud falowały wraz z ruchem, który coraz bardziej hipnotyzował przyglądającą się Bernadette.

Bębny waliły coraz szybciej i nagle ucichły. Mężczyźni z głośnym okrzykiem wyskoczyli wysoko w powietrze, a następnie uformowali koło. Wszyscy - z wyjątkiem jednego, który pozostał w środku.

Uderzali się po biodrach w coraz szybszym rytmie. Rozległo się walenie w drewniane bębny i młoda kobieta - Tanoa! - weszła powoli na polanę z wdzięcznie wyciągniętymi ramionami, kołysząc wyzywająco biodrami. Girlanda kwiatów przymocowana do brzegu nisko związanego pareu podkreślała jawną zmysłowość jej ciała. Mężczyzną był pewnie Momo, kochanek Tanoy, ale gdy ona tańczyła wokół niego, on udawał, że jej nie dostrzega, mimo zmysłowych gestów mających zwrócić jego uwagę.

Bernadette spojrzała ostro na Dantona, by zobaczyć, jak oddziałuje na niego taniec Tanoy, ale stwierdziła, że on patrzy tymczasem na nią, a nie na tancerkę.

- Ona jest... bardzo zręczna - zauważyła Bernadette, czując się zmuszona, by coś powiedzieć.

- Uczyła się od urodzenia... jak być i cieszyć się tym, że jest kobietą - odpowiedział Danton.

Podczas gdy ona uczyła się być lekarzem... A czy przez to była w mniejszym stopniu kobietą? Bernadette odwróciła się od jego szyderczego spojrzenia, milcząc z pogardą, nie chcąc przyjąć do wiadomości... niczego!

Nagle Momo porzucił swoją obojętną pozę i zrobił gest w kierunku Tanoy. Zaczął szybko poruszać biodrami, co przerodziło się w gwałtownie erotyczny rytm.

Bernadette wstrzymała oddech na tę otwarcie erotyczną scenę. Tanoe odpowiedziała mu oszalałym ruchem bioder, którego sens był równie oczywisty. Tańczyli razem, zwróceniu do siebie twarzami, ale nie dotykali się, pobudzając się nawzajem do coraz szybszego i szybszego rytmu - a za nimi wszystkie bębny waliły w dzikim, oszalałym tempie. Inne dziewczęta wtargnęły do koła wabiąc mężczyzn, którzy dołączali do nich jednym skokiem. Ich ciała lśniły, w świetle pochodni, gdy tańczyli z dziką, pierwotną namiętnością.

Bernadette nie mogła oderwać od tego oczu. Czuła, jak serce jej bije coraz szybciej, zgodnie z rytmem bębnów, jak erotyzm tego tańca burzy w niej krew... lubieżne pragnienie, by stać się częścią tego rytmu, zrzucić okowy cywilizacji, dać się porwać temu szaleństwu.

Bębny grzmiały w oszalamiającym crescendo i wreszcie zamilkły. Tancerze wydali radosny okrzyk i pobiegli w cień drzew, za polanę, ścigając uciekające dziewczęta.

Każdy nerw w ciele Bernadette zadrżał, gdy Danton przesunął wargi po jej nagim ramieniu. Obróciła się gwałtownie, by na niego popatrzeć i jego ciemne spojrzenie zanurzyło się w jej oczach.

- Widowisko skończone - powiedział cicho. – Czas na nas.

Wiedział oczywiście. Wiedział dokładnie, co czuła. Dlatego ją tu przyprowadził... by uświadomiła sobie istnienie tych pierwotnych instynktów.

Bernadette podniosła się z wysiłkiem. Szła wzdłuż plaży na uginających się nogach i dopóki nie minęli mola, ani razu nie spojrzała na Dantona. Czuła jego obecność, gdy starał się z nią zrównać. Wzbudzał w niej myśli i uczucia, których, mimo usilnych prób, nie potrafiła stłumić.

Ale w końcu dlaczego miała odmówić sobie przyjemności kochania się z nim. Może będzie to warte zapamiętania doświadczenie. I przynajmniej będzie miała satysfakcję, że wie, czy było dobre, czy złe. "I wierna sobie pozostań", myślała chaotycznie,

pragnąc go bardziej, niż pragnęła dotąd kogokolwiek.

Zatrzymała się, ciągle buntując się przeciwko pożądaniu, nawet wtedy, gdy już podjęła decyzję. Nie mogła z nim walczyć. Nie przez miesiąc. I pragnęła go. Pożądanie, jakie w niej budził - nawet wtedy, sześć lat temu - było nie do opanowania. Walczyła z nim i przegrała. Była skazana na przegraną. Ale z drugiej strony, dlaczego on ma czerpać przyjemność z jej zniewolenia? Za nic!

Gdy zatrzymał się koło niej, rzuciła się w jego kierunku jak lwica w klatce broniąca swoich małych.

- Więc dobrze! Jeżeli to jest twoja intryga... jeżeli tego chcesz... weź sobie swoją nagrodę, Dantonie! Proszę bardzo! Weź mnie! I miejmy to już za sobą! Możesz być pewien, że będę cię za to nienawidzić! - powiedziała gwałtownie, a jej dłonie rozsypywały już węzeł na plecach.

Danton nic nie odpowiedział. Widziała, jak był napięty, gdy pociągnęła za koniec pareu i odwinęła je z siebie. Rzuciła je na piasek i z równą wzgardą zdarła z siebie resztę ubrania. Naszyjnik z kwiatów cisnęła do wody. I tak stała przed nim dumna, w postawie urągliwego wyzwania, podczas gdy łagodny wiatr pieścił jej nagie ciało.

- O co chodzi, Dantonie? Czy to nie jest zgodne z planem? Czy może myślisz, że nie jestem dobra w tych sprawach? - Nie rozumiała, co się z nią dzieje, że mówi takie rzeczy, ale wyrzucała te słowa z radością, ponieważ go rozdrażniały.

- A jesteś?

Powiedział to gardłowym, suchym głosem i Bernadette zrozumiała, że jej zachowanie wywarło na nim silne wrażenie, że z ledwością nad sobą panuje.

Zaśmiała się podniecona, oszołomiona władzą, jaką nad nim miała.

- To w końcu twoje ryzyko, Dantonie! Czy warto... zaryzykować wszystko, dla zaspokojenia cielesnego pożądania?

Nie odpowiedział. Zerwał swój kwietny naszyjnik i rzucił tam, gdzie ona rzuciła swój. Rozwiązał swoje pareu i upuścił na piasek tuż przy stopach.

Pod spodem nie miał nic i Bernadette poczuła w brzuchu skurcz na widok jego wydatnej męskości, obnażonej równie bezceremonialnie, jak ona obnażyła się przed nim. Stał teraz przed nią w takiej samej postawie dumnego wyzwania, jaką wcześniej przyjęła ona.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Bernadette - powiedział niskim, wibrującym głosem. – Pragniemy się zbyt mocno, by móc się nasycić sobą w ciągu jednej nocy.

Uniósł ramię. Fala niepokoju zalała Bernadette, ale stała nieporuszona. Jego ręka otoczyła łagodnie jej ramię. Serce jej załomotało, gdy poczuła jego dotyk. Zbliżył się do niej i ich ciała niemal się zetknęły. Wpił się spojrzeniem w jej oczy i Bernadette poczuła, że tonie w tej czarnej głębi, lecz nie uchylała wzroku, do ostatniej chwili gotowa walczyć o swoją niezależność.

- Nie poddam ci się, Dantonie. Nigdy tego nie zrobię. Po prostu tej nocy biore sobie to, czego pragnę. A pragnę ciebie - nalegała z uporem.

Jego ręka zsunęła się w dół i podniosła jej dłoń, by położyć ją sobie na ramieniu. Ciepło jego nagiego ciała sparzyło ją i cofnęłaby się, gdyby jej nie przytrzymał. Mówił niskim zachrypłym głosem:

- To musi trwać, Bernadette. Zbyt długo na to czekałem.

Jego druga ręka delikatnie ujęła jej talię. Poczuła dreszcz.

- O co ci chodzi? - spytała zdumiona jego powściągliwością.

- O to, by trzymać cię w ramionach - odpowiedział. - O to, byś mnie pokochała.

Uwolnił jej dłoń i bardzo delikatnie przyciągnął ją do siebie. Powolne, stopniowe zbliżenie jej miękkich piersi do jego twardej klatki piersiowej wzbudziło falę podniecenia - spotkanie się dolnych części ich ciał spowodowało burzę. Pozbawiło Bernadette oddechu. Pożądanie targało jej nerwami. W erotycznym podnieceniu odruchowo spróbowała mu się wyrwać.

- Niech to trwa całą wieczność - wyszeptał. – Niech się to stanie najcudowniejszą chwilą naszego życia. Posłuchaj, jak fala uderza o brzeg... rozkoszuj się delikatnym wiatrem... poznaj i poczuj moje ciało... pulsującą tęsknotę mojego pożądania... i

swojego pożądanía... i zrozum, że to część wiecznej natury.

Nie rozumiała ani tego, co mówił, ani co z nią robił. Ale wreszcie przestała się tym przejmować.

Była zmęczona walką, koniecznością ciągłego czuwania, pilnowania się i trzymania się z dala. I to, co robił... i mówił... było dobre.

To było dziwne... być tak po prostu trzymaną w objęciach. Nikt tego dotąd nie robił, nigdy w ciągu całego życia, tego nie zaznała, nawet w dzieciństwie nikt nie próbował jej tak pocieszać czy okazywać uczucie. A mężczyźni, którzy trzymali ją w objęciach, zawsze czegoś od niej chcieli.

Danton także. Nie ukrywał przecież swojego podniecenia. Ale nie dążył niecierpliwie do zaspokojenia pożądanía. Gładził jej włosy z łagodną czułością, co było kojące i nieskończenie przyjemne. Westchnęła i oparła głowę na jego ramieniu. Lubiła dotykać jego ciało. Było mocne, ciepłe i można było się na nim wesprzeć.

Stali tak pogrążeni we wspólnocie, w której nie mogło już być więcej intymności. Bernadette była świadoma każdej cząstki swojego ciała i jego ciała i wrażliwa na każde, najmniejsze nawet poruszenie, powodujące gwałtowny wzrost podniecenia. Czowała, że jej skóra żyje. Im dłużej Danton gładził jej plecy lekkimi jak piórko końcami palców, tym bardziej stawały się one wrażliwe. Przyjemność, jakiej doznawała, była większa niż jakakolwiek inna doznana przedtem. Chciała, żeby to trwało wiecznie.

Nie zdawała sobie sprawy, co robi, dopóki tego nie zrobiła... przesunęła wargi po jego szerokim ramieniu i całowała zagłębienie szyi poniżej ucha. Poczowała, że jego klatka piersiowa wznosi się dla nabrania oddechu i rozkoszne mrowienie rozeszło się po jej piersiach.

Palce jego zanurzyły się w jej włosy i lekko odciągnęły jej głowę do tyłu. Jego twarz miała ostry zarys - starał się z wysiłkiem zachować opanowanie - ale usta miał miękkie, gdy całował jej skronie, powieki, nos i policzki - delikatne, zmysłowe, nieśpieszne pocałunki, które niczego się nie domagają.

- Pocałuj mnie naprawdę - prosiła ochryple. Jej głos wydobywał się jakby z oddali, a umysł błędził we mgle.

Chwycił ją w ramiona, przeniósł parę kroków i położył na miękkim bawełnianym pareu, które przedtem odrzuciła. Nie rozumiała siebie, nie wiedziała, dlaczego tak to odczuwa, ale nie obawiała się już Dantona. Nie miał zamiaru jej skrzywdzić. Była tego pewna.

Nachylił się by całować jej piersi, a ona wygięła w łuk plecy, zatracając się w czystej zmysłowości. Jej dłonie przeczesywały jego włosy i gładziły ramiona, a gdy usta jego osunęły się niżej, pokrywając delikatnymi pocałunkami wewnętrzną stronę ud, jej całe ciało zdrzało z rozkoszy. Pieścił jej nogi, ocierał się policzkiem o brzuch, całował ją ze zmysłowością, jakiej Bernadette nigdy nie spodziewała się zaznać, i podniecał ją do tego stopnia, że pragnęła dotykać go, poznawać, smakować i dostarczać mu takich samych cudownych wrażeń.

Czuła, że przebiegły go dreszcze i sprawiło jej to radość. Słyszała jego przyspieszony oddech i pojęła, jak potężna była jej władza nad nim. Przyciągnęła jego wargi do swoich... i skończyło się opanowanie. Całowali się żarłocznie, ich ciała ocierały się o siebie nawzajem, instynktownie poszukując jeszcze głębszego, jeszcze bardziej intensywnego kontaktu.

Każdy nerw w ciele Bernadette pragnął jego dotyku, i kiedy Danton wszedł w nią, pulsująca fala rozkoszy wypełniła jej ciało. Przyłgnęła do niego w bezrozumnym zachwycie i z każdym poruszeniem w jej wnętrzu kolejna fala ekstatycznej rozkoszy przepływała przez jej ciało - kołysząca, przygniatająca, powalająca,

zanurzająca ją w wirującej, topniejącej słodyczy. Było to jak wspaniały taniec w dzikim, zmysłowym rytmie... wolno... szybko... szybciej... Nie było takiego ruchu

- nawet najbardziej wyrafinowanego czy delikatnego

- którego by Danton nie znał... i wreszcie na koniec to euforyczne uniesienie, gdy ciepłe ramiona kołysały ją i kołysły jej rozkoszne rozedrgane nerwy.

Stopniowo zaczęła odczuwać, że łagodny wiatr pieści jej skórę... dostrzegać, że woda

uderza o brzeg, że gwiazdy świecą na niebie... że jego ciało jest przy niej... że bije jej serce... obok jego serca.

- Dantonie - wyszeptła dla samej przyjemności wypowiedzenia jego imienia.
- Tak... - westchnął z głębokim zadowoleniem.
- Czy zawsze kochasz się w ten sposób? - zapytała rozmarzona.
- Nie. - Pocałował ją znowu długo, niespiesznie, podczas gdy jego palce kusząco głaskały jej piersi.
- A czy chciałabyś jakoś inaczej?
- Nie - szepnęła rozkoszując się każdym jego dotknięciem. Jak mogła go odpychać, czy żywić do niego agresywną niechęć, jeśli on traktował ją z taką delikatnością... z taką miłością?
- A czy czujesz... to samo? - zapytała.
- Oczywiście - odpowiedział łagodnie.

I tak leżała przy nim, zadowolona, nie myśląc o przeszłości, ani o przyszłości... chroniąc w pamięci każdy moment, niczym cenny skarb, którego nikt, bez względu na to, co się stanie, nie będzie jej mógł odebrać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jeszcze jeden dzień... ile już ich minęło? Bernadette odwróciła głowę, by spojrzeć na śpiącego mężczyznę, którego nagie ciało spoczywało obok niej. Był piękny... piękny, pociągający i nieskończenie niebezpieczny! Nie wiedziała nawet, ile razy pozwoliła mu się wziąć.

Ta myśl pomogła Bernadette zrozumieć, jak beznadziejnie zaplątała się w utkaną przez Dantona erotyczną sieć. Nie miała kontroli nad tym, co z nią robił. Przestała nad sobą panować już tej pierwszej nocy na plaży - na samo wspomnienie tego błógiego połączenia przejmujący dreszcz przeszywał jej ciało. Nigdy, do końca życia, nie uda jej się zapomnieć magii tej nocy - ale przecież tak nie może być dalej.

Pragnąc odzyskać choćby minimalną kontrolę nad sobą i swoją sytuacją, Bernadette usiłowała policzyć dni, które upłynęły, przypomnieć sobie dokładnie każdy z nich.

Jednego dnia pojechali odwiedzić plantację i Danton kochał się z nią przy wodospadzie. A kiedy narzekała, że ktoś może przyjść, zaśmiał się, przeprowadził ją pod wodospadem i kochał się z nią dalej w płytkiej jaskini.

Inne dni było trudniej oddzielić od siebie: łowienie ryb, pływanie w lagunie, nauka nurkowania, i kochanie się wszędzie... o każdej porze... każde z tych wspaniałych przeżyć zlewało się z innym, więc trudno było ustalić jakąś określoną kolejność wydarzeń... którego ranka? popołudnia? wieczoru czy nocy?

Danton był nienasycony. Żył w taki sposób, jakby jutra miało nie być, jakby każdy dzień musiał być wypełniony każdą rozkoszą, jaka tylko jest możliwa między mężczyzną i kobietą; a ona nie potrafiła się temu oprzeć.

I na tym polegał cały problem! Przez niego stawała się bezmyślną, pustą, pozbawioną własnej woli istotą, która reagowała jedynie na jego dotyk. Nie czekała już nawet na to, aż jej dotknie. Tak naprawdę radość sprawiało jej prowokowanie go, używanie swego ciała, aby go podniecić, celowe zachęcanie go do pocałunków i pieszczot i... zanim zdążyła się zorientować, co robi, jej dłoń już delikatnie pogłaskała jego wyciągnięte ramię.

Danton poruszył się we śnie, przekręcił się, by instynktownie do niej przyłgnąć, uniósł ramię i otoczył jej talię, a potem westchnął z zadowoleniem i leżał spokojnie. Cudowne poczucie szczęścia ogarnęło Bernadette. Kochała bliskość jego ciała. Kochała...

Objawienie to uderzyło ją z oślepiającą siłą! Danton sprawiał, że zaczynała go kochać... beznadziejnie... ślepo... bezmyślnie...

Przeszył ją lęk.

„Byś mnie pokochała”... to właśnie powiedział pierwszej nocy, na plaży! Nic o pokochaniu jej!

Przebiegła w myśli wszystko, co Danton mówił w dniu jej przybycia na wyspę...

Nie byłoby dla niego wielkim triumfem uwieść ją sześć lat temu, kiedy była młoda i niewinna. Czekał, aż stanie się celem bardziej godnym wysiłku... bardziej podniecającym przeciwnikiem...

A jej decyzja w sprawie wyspy... - niczego nie ryzykował - jeśli doprowadzi do tego, by go pokochała! Jeśli uda mu się ją sobie całkowicie podporządkować i tak odda mu wszystko - siebie, wyspę - wszystko - przecież właśnie teraz tak robi. Jakie słodkie będzie to zwycięstwo nad kobietą, która gardziła nim i wszystkim, co sobą przedstawiał.

Jakież to było paradoksalne! Wszystkie te lata, kiedy nikt jej nie kochał, kiedy nie miała nikogo, kogo mogłaby kochać... nie zdawała sobie nawet sprawy, jak głęboka była potrzeba, którą Danton w niej obudził... Ale skąd mogła to wiedzieć, skoro żyła bez miłości? Nie wiedziała, nie domyślała się nawet... ale Danton wiedział - przyszło jej nagle do głowy... i to był najboleśniejszy cios!

Doprowadził do tego, że go pokochała i to była najokrutniejsza, najpodlejsza krzywda, jaką mógł jej zrobić... a to zawsze miała na celu jego okropna intryga. Teraz to widziała jasno.

Przekręcił się znowu, jego dłoń przesunęła się na jej pierś. Nawet przez sen Danton trzymał ją na uwięzi. A gdyby się obudził, ona natychmiast oddałaby się znowu w niewolę kochania i bycia kochaną. Danton umie doprowadzać ją do stanu takiej namiętności, że każda komórka jej mózgu domaga się zaspokojenia. Taką miał nad nią władzę.

Musi to przerwać! Przerwać, zanim utraci zdolność samodzielnego życia. On może sobie pozwolić na zmysłowość. Dla niego każda kobieta znaczy tyle samo. Ale ona nie jest taka, nigdy nie będzie. Gdy po upływie miesiąca odeśle ją stąd - umrze bez niego.

Pozwoliła sobie na słabość... jest jak wosk w jego rękach. I skoro nie ma sposobu, by opuścić wyspę, skoro nie ma gdzie się schować, nikogo nie można wezwać na pomoc... musi przyjąć przeciwko niemu jakąś konsekwentną postawę obronną. Stworzyć mocne, stabilne bariery!

Drżąc z wysiłku, na jaki musiała się zdobyć, by się od niego oderwać, Bernadette podniosła jego rękę i wyslizgnęła się z ogromnego łóżka. Przebiegła cicho przez dom i zatrzymała się dopiero na werandzie, gdzie chwyciła dolną część swojego bikini, którą zostawiła na krześle, by wyschła.

Nie pamiętała, co się stało z górą. Danton wyrzucił ją jakiś czas temu. Było tak przyjemnie nie przejmować się ubraniem, żyć swobodnie i zgodnie z naturą... i jeśli natychmiast nie oderwie się od tego wszystkiego,

nie będzie już umiała powrócić do normalnego życia.

Jej posępne spojrzenie przesuwało się po wysmukłych palmach, olśniewająco białym pasie plaży, kuszącej, turkusowej wodzie laguny. To nie jest prawdziwy świat. Musi to pamiętać! Ta fantazja o miłości w raju skończy się po trzydziestu dniach, a potem... studiowała przecież, żeby być lekarzem. Tym właśnie chciała być... i tym będzie...

Nawet to Danton wykorzystał do własnych celów! Uwodził jej umysł tak samo jak ciało. Wykorzystał skrupulatnie i bezwzględnie narodziny dziecka Marity, by poczuła się ceniona, potrzebna i... kochana.

Gdy Ariitea posłała Tanoe do taote po pomoc, bezbłędnie odgrywał swoją rolę, pomagając jej szybko dotrzeć na miejsce, a potem uspokajając zdenerwowaną dziewczynę, gdy Bernadette pracowała nad utrzymaniem dziecka przy życiu.

Poród pośladowy był trudny - w kanale rodnym najpierw pojawiła się pępowina i powstało poważne niebezpieczeństwo, że dziecko w trakcie porodu będzie miało odcięty dopływ krwi.

Radość, że udało się jej przyjąć ten poród... i ulga! To było cudowne - warte wszystkich lat studiów i praktyki... Danton powiedział spokojnie:

- Jesteś tu potrzebna, Bernadette. A kiedy uznasz, że jesteś na to gotowa i ty będziesz miała dziecko.

To był taki triumf i radość, że nawet teraz chciała mu wierzyć. Może to nie była tylko okrutna, bezlitosna gra? Może się myliła, a on chciał, by ich związek trwał i wcale się nie skończył? A jeśli ją kochał? A może myślał, że urodzi dziecko jak Marita... czy jej własna matka... bez korzyści płynących z małżeństwa?

Jej umysł zaczął pracować chaotycznie. Nadzieja i potrzeba miłości kazały jej powstrzymać się z oceną i pozostawić sprawy własnemu biegowi. Zaczekać i zobaczyć. Ale dręczył ją ten lęk przed utratą kontroli, przed oddaniem swojego losu w ręce Dantona, by ją potem porzucił. Jak mogłaby to znieść?

Poszukując rozpaczliwie jakiejś ucieczki przed dręczącymi myślami, Bernadette podniosła książkę, którą czytała od czasu do czasu. Był to zbiór opowiadań, ich akcja toczyła się na Polinezji i każde z nich sprawiało jej przyjemność. Więcej niż przyjemność. Człowiek, który je napisał, znał życie.

Spojrzała na nazwisko autora - Jacques Henri - i zastanawiała się, kim był, gdzie mieszkał i jak zdobył takie głębokie i subtelne zrozumienie człowieka.

Ze wszystkich książek, które czytała - wszystkich autorów, żadna nie była w takiej harmonii z jej sercem i umysłem jak ta właśnie. Nigdzie nie znalazła fałszywej nuty. Każde opowiadanie sprawiało jej niezmierną przyjemność, więc postanowiła, że jak wróci do domu, poszuka innych napisanych przez niego książek. Mogą jej przynieść ukojenie.

Bernadette westchnęła żałośnie. Powinna zakochać się w kimś takim jak Jacques Henri, a nie w bezlitosnym graczu, Dantonie Fayette.

Starła się jakoś stłumić nieznośne poczucie bezsilności, ale nie umiała się zdobyć na podjęcie żadnej decyzji. Częściową próbą oderwania się od tego, który miał nad nią taką władzę, było pójście z książką na plażę.

Maty z liści palmowych, których używali do opalania się, przysypane były piaskiem. Otrzepała jedną z nich, ułożyła ją prosto, a potem wyciągnęła się na niej. Książka otworzyła się tam, gdzie była zakładka, ale uczucia Bernadette były tak wzburzone i skomplikowane, że bez względu na podziw dla subtelności autora, nie mogła się skupić, nad tym, co czytała.

- Masz zamiar czytać?

Drgnęła na dźwięk lekko kpiącego głosu Dantona. Jak długo się jej przyglądał,

widząc że nie przewróciła kartki? Czy czuł w stosunku do niej coś więcej niż pożądanie, które można łatwo zaspokoić? Uniosła wzrok i zobaczyła, że jest gotów zacząć od nowa. A ona nie przygotowała sobie żadnej obrony. Była szczególnie bezbronna, gdy nie zadawał sobie trudu, by się ubrać.

- Powinnaś była mnie obudzić - strofował ją i opadł na matę koło niej. Jego palce leciutko gładziły jej wygięte plecy. Na ramieniu jej złożył miękki, ciepły pocałunek.

Bernadette myślała o tym, co ma powiedzieć... ale jej skóra rozpływała się już w rozkoszy.

- Mój dziadek opowiadał mi podobne historie. Cieszę się, że ci się podobają - powiedział Danton leniwie, a jego palce prześlizgnęły się wzdłuż gumki jej kostiumu. - Zdejmijmy to.

Zacisnęła zęby, zdecydowana, by nie poddawać się zawsze jego woli. Jeśli nie odzyska choćby częściowej kontroli - będzie całkowicie zgubiona.

- Nie, Dantonie - powiedziała na tyle stanowczo, na ile było ją stać. - Nadszedł czas wspólnej refleksji.

- To prawda - przyznał, z zadowoleniem pieszcząc jej atlasową skórę i bawiąc się jedwabistymi długimi włosami.

To ją bardzo rozpraszało. Bernadette nie wiedziała, co powiedzieć dalej. Była tak całkowicie skupiona na tym, co robił, że wszystkie myśli o kontrolowaniu sytuacji po prostu się rozbiegły. - Popływajmy - powiedziała ochryple i pomknęła w kierunku ciepłej wody laguny.

Ale Danton ją dogonił, tak jak przypuszczała, tak jak chciała. Jakaś resztką rozsądku podpowiadała jej, że to szaleństwo - że to gra, której reguł nie zna i w którą nie umie grać. Tylko Danton umiał. Mógł przygarnąć ją do siebie i pozbawić ją rozsądku z rozkoszy. To on kontrolował sytuację.

Ale to jest i jej świat... w którym tak dobrze jej żyć, w ciepłej wodzie, w jasnych promieniach porannego słońca, pod cudownie błękitnym niebem - z Dantonem... Nacisk jego ciała już niweczył jej gorączkowe pragnienie, by wszystko dokładnie

przemyśleć.

I raz jeszcze Bernadette poddała się magii, którą roztoczył wokół niej z mistrzostwem wielkiego czarodzieja. Była jego tworem, każde drgnienie jej duszy utwierdzało ich związek - posiadającego i posiadanej. Wszystkie te głębokie, pulsujące uczucia, jakie w niej budził domagały się reakcji i odpowiedzi.

Kiedy już skończyli, Danton uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Czy czujesz się już teraz lepiej?

Serce Bernadette ścisnęło się z bólu. Dla niego to wszystko miało jedynie na celu rozładowanie fizycznego napięcia! Kochankowie jedynie w znaczeniu zmysłowym... tylko o to mu chodziło. Chcieć wierzyć w coś więcej, to oszukiwać samą siebie. A wiedziała, że ból, który odczuwała teraz, może się tylko powiększyć. Ma tylko jedno wyjście i bez względu na to, jak będzie dla niej rozdzierające, musi go użyć.

- Dantonie... - jak to trudno było powiedzieć! - Nie chcę cię obrazić, ale...

- Nie możesz mnie obrazić - powiedział ze śmiechem.

Powiedziała to szybko, zanim słowa zdążyły uwięznąć jej w gardle:

- Chcę stąd wyjechać.

W jego roześmianych oczach pojawiła się niewiara zmieszana z kpina.

- Dlaczego?

- Bo źle na mnie działasz! - krzyknęła, starając się zachować resztkę równowagi umysłowej.

- Nonsens! Działam na ciebie bardzo dobrze. Promieniejesz szczęściem. Przez cały czas pobytu tutaj nie miałaś ani jednego ataku astmy. Twoje ciało wykazuje wszelkie oznaki zdrowia. Może to nieprawda? - upierał się i nachylił się, by pocałować jej piersi. Chwycił ją w ramiona i unióś w wodzie tak, że nie miała żadnego punktu oparcia, żeby się od niego odsunąć.

Słodkie ukłucia rozkoszy przeszyły ciało Bernadette i aż jęknęła, zmagając się z jego władzą, jaką podstępnie nad nią zdobył. To było tylko fizyczne... fizyczne... jej umysł

buntował się z powodu zdradliwej reakcji ciała. Musi za wszelką cenę zdobyć choć trochę kontroli, zanim będzie za późno. Ona nic dla niego nie znaczy. Pragnął jej i ją zdobył. I to wszystko. Nie obchodziło go, że zerwanie będzie oznaczało dla niej katastrofę.

- Przestań - próbowała być stanowcza, choć drżała od jego pieścizot i chciała, żeby nie przestawał.

On to wiedział. Oczywiście, że to wiedział. Jego oczy miały błyskawice pożądania. W odruchu buntu przeciwko jego bezlitosnej manipulacji stłumiła swoje podniecenie i z bólem wypowiedziała jedyne słowa, które mogły ją uchronić przed całkowitym zniewoleniem:

- Nigdy nie będę cię kochała, Dantonie.

I słodka męka się skończyła. Danton wziął głęboki oddech, a następnie chwycił ją w ramiona, próbując przekonać ją całym swoim ciałem. Całował jej powieki, delikatnie zmuszając ją, by je uniosła.

- Zostań do końca. To tylko dwadzieścia dni. Pozwól mi tylko, a postaram się zmienić twoje zdanie - mówił cicho. Pokochasz mnie. Obiecuję ci to.

Nie musiał obiecywać. Nawet jeśli to nie było prawdą teraz, stać się nią mogło w każdej chwili. Bernadette chciała wierzyć, że burza w jego oczach oznacza, że mu naprawdę na niej zależy, ale te dwadzieścia dni było dla niej zbyt poważną przeszkodą. Już teraz była prawie stracona. W ciągu dwudziestu dni posiadzie ją całkowicie.

Takie zadanie sobie wyznaczył i nie stracił wcale rachuby czasu. Jego kalkulujący na zimno umysł odliczał precyzyjnie dni. Kiedy uzyska od niej wszystko, czego chciał, kiedy ona zdecyduje o losie wyspy na jego korzyść, odeśle ją. A ona zrani swego ojca tak samo, jak skrzywdziła siebie.

Patrzyła na niego oskarżycielsko:

- Chcę, żebyś pozwolił mi odjechać, Dantonie. Jestem dla ciebie jedynie chwilową przyjemnością.
- To nieprawda, Bernadette - powiedział łagodnie. - Jesteś radością wszystkich moich chwil.

Te słowa podważyły jej kruchą obronę i na twarzy Dantona, który chyba czuł swoją przewagę, pojawił się wyraz czułości. Podniósł ręce, by odgarnąć jej włosy z twarzy. W jego oczach lśniła ciemna hipnotyczna łagodność, sięgająca w głąb jej miękkiego serca.

- Zapomnij o tym, co powiedziałaś. To był tylko chwilowy nastrój. Posłuchaj, powiem ci, w jaki sposób cię kocham...
- Nie! - wydała z siebie okrzyk czystej rozpacz. Nie mogła znieść jego gładkich słów o miłości! Używał ich prawdopodobnie w stosunku do setek kobiet! A może tysięcy!
- To koniec! Nie mogę tego ciągnąć dłużej! - krzyczała gwałtownie. - Nie będziemy się więcej kochać! Nie będzie już między nami nic! To musi się skończyć! Natychmiast!

Nie odważyła się czekać na odpowiedź ani na jakąkolwiek reakcję z jego strony. Popłynęła w kierunku plaży, a potem pobiegła do domu, serce biło jej ze strachu, że

będzie ją ścigał. Nie może dać się złapać. To się nie może znowu powtórzyć. Zamknęła za sobą drzwi domu, a potem drzwi łazienki i oparła się o nie drżąc ze zdenerwowania.

Nie słychać było głośnych kroków, żadnego pościgu. Powlokła się ciężko pod prysznic i z ulgą pozwoliła, by silny strumień wody smagał ją i splukiwał piasek z jej ciała. Nie zdobyła się nawet na wysiłek, by umyć sobie włosy. To jest skończone, powtarzała sobie. Koniec! Musi być skończone!

Ale Danton czekał na nią w salonie, kiedy wyszła z łazienki. Wstał z bambusowego fotela z ponurą twarzą, a napięcie jego było tak silne, że i jej się udzieliło. Ale przynajmniej związał pareu wokół bioder, tak, że jego obecność nie była aż tak trudna do zniesienia.

Bernadette była głęboko wdzięczna losowi, że sama zostawiła lokalny strój w łazience poprzedniej nocy. Nie było to zbyt zgrabne okrycie, dawało jej jednak trochę ochrony przed Dantonem, gdyby czegokolwiek próbował.

Ale on się nie ruszał.

- Dlaczego? - nalegał, głosem nabrzmiałym gniewem, podczas gdy jego czarne oczy zagłębiały się bezlitośnie w jej duszy i sercu.

Było więcej niż oczywiste, że Danton nie miał zamiaru pokornie poddać się jej zadaniom, i Bernadette nie miała pojęcia, w jaki sposób wprowadzi w czyn swoje ultimatum. Ale jakoś musi. To był jedyny sposób, żeby przeżyć.

- Ponieważ mam cel w życiu. A to posunęło się za daleko - oznajmiła zimnym, zduszonym głosem.

- Jesteś doskonałym kochankiem, Dantonie. Jestem ci wdzięczna za czas, jaki mi poświęciłeś. Ale co za dużo, to niezdrowo. Teraz chcę wyjechać.

- Nie możesz pozwolić sobie na to, by kogoś pokochać, Bernadette?

- Na pewno nie ciebie - odrzuciła z całą swoją dawną ognistą dumą.

- Czy w ogóle istnieje jakiś odpowiedni dla ciebie mężczyzna? - naciskał.

Ta uwaga jeszcze bardziej rozjątrzyła świeżą ranę w jej sercu. Potrzeba ranienia jego także umocniła ją w postanowieniu. Dopóki nie wskaże mężczyzny, który mógłby zdobyć jej miłość, Danton nie puści jej wolno.

- Tak, jest mężczyzna, którego mogłabym pokochać. Ktoś, kto byłby dla mnie odpowiedni - powiedziała z pewnością.

W oczach Dantona lśniły trudne do określenia, niebezpieczne emocje.

- Kto?

Bernadette uniosła głowę w pełnym pogardy buncie.

- Autor opowiadań, które czytałam tego ranka. On ma zalety, które podziwiam - prawdziwą troskę o innych, głębokie zrozumienie człowieczeństwa. Ma wrażliwość, poczucie humoru, jest konsekwentny

- wszystko to, co dla ciebie nie ma znaczenia. Jest wszystkim, czym ty nie jesteś!

- Jakie to pouczające. Jacques Henri mógłby zdobyć twoje serce. - Wargi Dantona skrzywiły się w ironicznym grymasie. - Mogłabyś kochać takiego człowieka?

- Tak. - Bernadette patrzyła na niego zjadliwie. - Porozumienie dusz jest ważniejsze i trwalsze niż porozumienie ciał. I dlatego ciebie już nie chcę, Dantonie.

- Więc - wysyczał przez zęby - nareszcie dotarliśmy do sedna sprawy!

Zacisnął szczęki. Przygryzł wargi w dzikim gniewie. Wyraźnie było widać, że stara się zachować spokój. Kiedy wreszcie zaczął mówić, jego głos pozbawiony był jakiegokolwiek barwy... zimny, monotony monolog.

- Pozwól sobie powiedzieć, Bernadette - a nie sprawia mi to żadnej satysfakcji - że popełniłaś właśnie największy błąd w swoim życiu. I niech mi Bóg będzie świadkiem, że nigdy nie pozwolę ci zapomnieć tych słów, aż do dnia twojej śmierci. Zadajesz sobie cios własną ręką. Nieodwołalnie.

Serce jej zamarło, gdy ponura, gniewna namiętność pojawiła się na jego twarzy. Widziała jego zaciskające się i otwierające pięści. Czy posunęła się za daleko? Czy

Danton może stracić opanowanie? Cofnęła się o krok w stronę łazienki, instynktownie szukając ochrony przed jego groźnym, chmurnym gniewem.

Jego głos jak bat przecinał pokój, zatrzymując ją w półkroku i chłoszcząc pogardą.

- Uciekasz przede mną... czy przed sobą?

Duma kazała Bernadette zatrzymać się i stawić mu czoła.

- Nie uciekam! Nie uciekałabym przed żadnym podobnym do ciebie brutalem i tyranem!

Zesztywniał pod wpływem tej zniewagi. Ale o dziwo, jego rozszalała furia przekształciła się w coś innego. Emanowała z niego siła... coś podobnego wyczuwała w ojcu, kiedy szykował się do grand coup... bezlitosne skradanie się tygrysa, który ma właśnie zamiar skoczyć na swoją ofiarę i rzucić się jej do gardła. Danton Fayette sprawiał właśnie teraz dokładnie takie wrażenie!

- Nie ma takiego miejsca, do którego możesz uciec - wycedził. - Nie możesz uciec przed samą sobą.

- W jego oczach widoczny był jakiś zamiar. - Widzisz, Bernadette, bez względu na to, jak bardzo mnie będziesz za to nienawidziła, musisz ponieść odpowiedzialność za swoje słowa. Prawda bowiem jest taka...

- Panie Fayette! Panie Fayette!

Nagły krzyk przerwał napięcie między nimi. Jeden z wyspiarzy - Momo - wskoczył na werandę i biegł do drzwi, dysząc i przewracając czarnymi oczami.

- Panie Fayette... przyszła pilna wiadomość... przez radio!

- Nie teraz! - powiedział rozkazująco Danton i wrócił spojrzeniem na Bernadette.

- Panie Fayette... to bardzo pilne! - zaklinał Momo.

- Nic nie jest aż tak pilne - niecierpliwił się Danton. - Odejdź.

- Wiadomość od jakiejś pani... Tammy Gardner. To w sprawie ojca taote. Miał poważny atak serca. Myślą, że umiera. Ona musi szybko wracać.

Szok i przerażenie spowodowały, że krew odpłynęła Bernadette z twarzy. Nie

rozmawiała ze swoim ojcem. Za długo czekała... za długo! I nie było sposobu, żeby szybko opuścić wyspę!

Odwróciła się do Dantona krzycząc w rozpacz:

- Widzisz, co zrobiłeś! Ty i te twoje bezwzględne, egoistyczne gry! Mój ojciec miał co do ciebie rację! Miał poważny powód do zmartwienia. I na pewno przez to zmartwienie teraz... umiera, niech cię diabli wezmą! Musisz mi natychmiast sprowadzić samolot! Muszę do niego jechać. Muszę... - dławiała się i łzy napływały jej do oczu.

- Bernadette...

Danton zrobił ku niej krok, wyraźnie pełen współczucia, ale Bernadette nie pozwoliła mu się zbliżyć.

- Nie zbliżaj się do mnie! Nic nawet do mnie nie mów! Chciałeś mnie tu uwięzić i postawić na swoim! I dostałeś to, czego chciałeś, ale ja cię za to nienawidzę! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę...

Ostre uderzenie w policzek uciszyło ją. Danton chwycił ją za ramiona i mocno trzymał, mówiąc szybko i zwięźle:

- Wsadzę cię na pierwszy samolot z Papeete do Sydney, Bernadette. Mam helikopter na plantacji i wezmę cię nim na lotnisko Faaa, będziesz tam na czas, żeby złapać połączenie. Teraz weź się w garść i przyszykuj do podróży, a ja zajmę się koniecznymi przygotowaniem. To potrwa prawdopodobnie godzinę albo dwie, ale polecisz do ojca najszybciej, jak to możliwe.

- Możesz mnie zabrać, z wyspy? Natychmiast? - pytała oszołomiona.

- Tak. Jeśli nie będzie normalnego lotu, wezwę mój odrzutowiec z Paryża. Ale duży pasażerski samolot będzie szybszy...

- Helikopter... odrzutowiec - jego dwulicowość utwierdziła ją w tym, co o nim sądziła. Kłamał mówiąc, że nie można opuścić wyspy. To wszystko były kłamstwa... żeby osiągnąć swój cel!

- Jesteś zepsuty do szpiku kości, Dantonie!

Jego oczy zapłonęły gniewem, ale jego postawa była pełna opanowania.

- Teraz nie czas się o to spierać! Mogę przez radio porozumieć się z dowolnym miejscem na świecie, więc przed wyjazdem dowiem się o stan zdrowia Gerarda. A teraz, jeśli możesz, zacznij się zbierać.

- Dobrze! - odburknęła.

Pocałował ją z drwiną w czoło.

- Jestem bardzo zepsuty - powiedział - ale przyślę ci Tanoe do pomocy.

Bernadette zmusiła się, by się odwrócić od Dantona Fayette i pomaszerować do sypialni. Pakowała się w oszołomieniu.

Za niecałe dwie godziny byli w powietrzu oddalając się od rajskiej wyspy Te Enata... gdzie miał miejsce początek i koniec jej związku z Dantonem Fayette!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bernadette z radością przysłuchiwała się hałasowi helikoptera. Nie przyjęła słuchawek, które dawał jej Danton. Nie chciała nigdy więcej rozmawiać z Dantonem Fayette, ani pozwolić mu, by mówił do niej. Chciałaby, gdyby to było możliwe, wyjechać bez niego. On należał do Te Enata... do świata, który zostawał za nią!

A przed nią był prawdziwy świat, jej ojciec, bardzo ciężko chory, ale ciągle żyjący...

Łzy napłynęły jej do oczu i spłynęły po policzkach.

Nie było nadziei na to, by kiedykolwiek zdobyła Dantona. On nie miał w sercu miłości. Ale ojciec... musi go odzyskać... łączyły ich więzy pokrewieństwa, których nie można zerwać, i jeśli kiedykolwiek ma w ogóle poznać miłość... musi się z nim zobaczyć, musi zdążyć, zanim on umrze!

Wylądowali na lokalnym lotnisku, przyjmującym jedynie samoloty łączące wyspy z Papeete. Jeden z pracowników Dantona czekał na nich i natychmiast, mówiąc bardzo szybko po francusku coś, czego Bernadette nie rozumiała, przewiózł ich na międzynarodowe lotnisko. Danton odesłał go, by zajął się bagażem Bernadette, a sam poprowadził ją dalej.

- Samolot jest już gotowy do odlotu - wyjaśnił. - Pasażerów wzywano jakiś czas temu. Twój bagaż poleci potem. Nie ma dość czasu, by go teraz załadować.

Bernadette nic nie odpowiedziała. Była zadowolona, że pożegnanie Dantona Fayette nastąpi bez żadnych opóźnień. Wystarczająco krepowało ją to, że prowadził ją pod ramię. Im szybciej oddali się od niego, tym lepiej.

Kiedy dotarli do wyjścia, nie było już śladu po innych pasażerach. Stewardessa czekała tylko na bilet Bernadette, który podał jej Danton. To było już wszystko. Koniec. Ostateczne pożegnanie. Pewnie już nigdy go nie zobaczy. Ale tak będzie najlepiej, myślała rozpaczliwie.

Stewardessa powiedziała coś po francusku. Bernadette automatycznie wyciągnęła rękę po kartę pokładową, ale wziął ją już Danton, który popychał Bernadette do przodu... przez przejście... do samolotu!

- Dokąd idziesz? - wykrztusiła, a każdy nerw drżał w niej z przerażenia. Postawiła mocno stopę na podłodze i obróciła się, by spojrzeć na niego. Serce waliło jej jak młotem, starała się zdusić podejrzenie, które wkradło się jej do rozgorączkowanej głowy.

- Nie powinieneś tu być! - krzyczała. - To spowoduje kłopoty. Nie opóźniaj lotu, Dantonie. Proszę, daj mi moją kartę!

- Polecę z tobą - odpowiedział z uporem. Jej oczy błysnęły niechęcią.

- Nie! Nie, nie polecisz, Dantonie! Nie chcę, żebyś był przy mnie. Co mam powiedzieć, żeby było to dla ciebie jasne?

Jego rysy stężały, ale w oczach nie było wahania.

- Możesz nie chcieć mnie widzieć akurat teraz, ale nie powinnaś w tych okolicznościach być sama.

- Byłam sama przez całe życie!

- Tym gorzej! - powiedział chrapliwie. - Potrzebujesz mnie, choć nie zdajesz sobie z tego teraz sprawy.

- Nie... nie potrzebuję cię... - broniła się z naciskiem, z rozpaczą starając się wyrwać mu raz na zawsze. - Wbij to sobie do głowy, Dantonie! Koniec z nami!

Dziękuję bardzo za to doświadczenie! Jako kochanek zasługujesz na najwyższe pochwały. Nauczyłeś mnie rzeczy, które w przyszłości wykorzystam. Z kimś, na kim mi będzie naprawdę zależało:

Jego twarz zbladła w gniewie na to wzgardliwe pozbawienie znaczenia wszystkiego, co ich łączyło. Bernadette, zachęcona skutecznością ciosu, zadawała śmiertelne razy, po których nie mogło już być żadnej nadziei na trwanie ich związku.

- Jesteś bardzo sprytny, Dantonie! Ale nie dość! I nie podoba mi się to, co reprezentujesz. - Usta jej zadrżały i zamknęła na chwilę oczy, gdy wypowiadała najstraszniejsze kłamstwo w swoim życiu: - Nigdy bym cię nie mogła kochać, Dantonie. W żaden sposób. I gdybym została trzydzieści dni, nie mógłbyś zatrzymać wyspy. Musiałbyś ją sprzedać mojemu ojcu.

- Nie wierzysz w to, co mówisz, Bernadette - powiedział posepnie.

Przez moment się wahała, ale ból, jaki jej zadał, wzmógł się poprzez ból, który zadał jej ojcu, więc zadała cios ostateczny:

- Taka jest moja decyzja Dantonie. Możesz uważać, że masz szczęście, ponieważ wyjeżdżam teraz. Ciesz się z tego, co ci zostawiam. Ciesz się z tego, co masz. Za całą zabawę, jaką miałeś, nie musiałeś doprawdy zbyt dużo zapłacić.

- Zabawa! - wypluł to słowo jak przekleństwo.

- Tak! I teraz nie masz mi już nic nowego do zaoferowania! - powiedziała z całą gwałtownością, na jaką musiała się zdobyć, by go odepchnąć.

Duma nie pozwoliła mu okazywać swoich uczuć.

- Jesteś niemądra, Bernadette. Spójrz prawdzie w oczy i zmień zamiar, zanim...

- Byłam niemądra, że zgodziłam się mieć z tobą coś wspólnego. Nie mam zamiaru dalej być głupia! - wypaliła z gniewem. - I nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy!

Fala gniewu i bólu oblała mu twarz, ale duma kazała mu zacisnąć szczęki.

- Jeśli tego właśnie chcesz, niech tak będzie!

Rozdzielił ich bilety lotnicze i oddał jej jeden.

Czarne oczy rzucały ku niej jadowite błyski.

- Jeszcze jedna rzecz, zanim odjedziesz. Specjalna pamiątka ode mnie... coś, czego nigdy nie zapomnisz!

Nie potrzebuję nic więcej, myślała. Nie będzie mogła zapomnieć Dantona Fayette i tak. Ale jej decyzja była słuszna. Danton mógłby tylko zadać nowy ból jej sercu. Ból i rozpacz.

Głos jego nabrał dzikiego zabarwienia... jakby zalewała go nienawiść. Chłostał ją nagłymi uderzeniami:

- Miałem zamiar ci to powiedzieć, zanim Momo przybiegł... powinnaś to wiedzieć... musisz to wiedzieć!

Jacques Henri - mężczyzna, którego mogłabyś pokochać - mężczyzna, który mógłby być dla ciebie odpowiedni - to dziwnym trafem losu jestem ja, Bernadette! Jacques Henri to pseudonim. Moje imię, moje pełne imię brzmi Jacques... Henri... Danton... Fayette.

Dostrzegła gorzki wyraz triumfu w jego oczach i serce jej się ścisnęło.

- Ty... - poczuła, że zaschło jej w ustach. Dusza jej zamarła, choć starała się dzielnie sprostać poczuciu całkowitego spustoszenia. - Ty napisałeś te opowiadania?

Usta Dantona wykrzywiły się wzgardliwie.

- Ty byłaś moją inspiracją, Bernadette! Od tego dnia, dawno temu w Hong Kongu! To nie za dobrze świadczy, jak umiesz oceniać innych. Zmieniłem się. Ale ty nie! Miałaś swojego odpowiedniego mężczyznę! Tylko niestety, nie potrafiłaś tego docenić. Wracaj więc do swojego ojca. Mam nadzieję, że jego choroba nie jest aż tak poważna, jak mówią. Ufam, że wyjdzie tego.

Nie dał jej ani chwili, by mogła ochłonąć i cofnąć choć część tych okropnych rzeczy,

które powiedziała, i przyznać, że były tylko używanym w samoobronie kłamstwem. Ukłonił się jej z surowym wyrazem twarzy i odszedł korytarzem.

Stewardessa, która ruszyła w ich kierunku, zawahała się przez chwilę, kiedy Danton przemknął koło niej. Nie odpowiedział na jej pełne niepokoju pytania, nie spojrzał nawet w jej stronę. Stewardessa wzruszyła ramionami i przyspieszyła kroku.

- Proszę... wejść do samolotu - powiedziała dotykając ramienia Bernadette, jakby chcąc w ten sposób podkreślić konieczność zrobienia ruchu.

Bernadette zareagowała półświadomie. Jedyne, co do niej docierało, to poczucie ogarniającej ją pustki. Odepchnęła mężczyznę, którego kochała... jedynego mężczyznę, jakiego mogła kochać... mężczyznę, który kochał ją! Zabiła z bezwzględnym, lekkomyślnym okrucieństwem... to, czego najbardziej pragnęła.

Nie może teraz biec za nim, powiedzieć mu, jaki straszny błąd popełniła. W tak ostatecznej sytuacji nie ma innego wyjścia, jak tylko lecieć do ojca... ojca, który umiera... który może umrzeć, zanim do niego dotrze.

Pierwszych kilka godzin lotu upłynęło jej w najczarniejszej rozpacz. Bernadette próbowała wmówić sobie, że Danton skłamał - nie był tym człowiekiem, który napisał opowiadania; był zbyt okrutny i bezwzględny; tyle razy ją zwodził; miała rację, że go odrzuciła... ale ani jej serce, ani jej umysł nie były co do tego przekonane.

Nie mogła zapomnieć tej pierwszej nocy na plaży, kiedy Danton udowodnił, jak głęboko rozumie jej potrzeby - i posiada wrażliwość, jaką przypisywała pisarzowi Jacquesowi Henri. Przez wszystkie następne dni był dla niej dobry, zabiegał, żeby było jej przyjemnie i żeby była szczęśliwa, budując poczucie wspólnoty, które było tym słodsze, że samotność naznaczyła jej całe dotychczasowe życie.

Przytłaczała ją straszliwa oczywistość tej prawdy. To ona zmusiła Dantona, żeby chwycił się ostatecznych sposobów, by nawiązać z nią kontakt. Gdyby nie zaprzeczała temu, że oboje czują do siebie pociąg... gdyby była bardziej uczciwa, zamiast zasłaniać się dumą i walczyć o niezależność...

Tak samo postępowała ze swoim ojcem!

Czy to był jej następny straszliwy błąd?

Czy w ostatnich latach ojciec nie zaczął postępować podobnie jak ona, by swoich ojcowskich uczuć, które zbudziły się tak późno, nie narażać na jej wzgardę... nie chcąc, by próby zbliżenia odsunęły ich od siebie jeszcze bardziej?

Panika opanowała serce Bernadette. Zmarnowała możliwości, jakie się przed nią otwierały. Zatrzasnęła drzwi przed Dantonem. Nawet gdyby wróciła do niego na kolanach, może ją odtrącić, tak jak ona odtrąciła jego. Sama wystawiła się na potępienie.

Ale jej ojciec... teraz nie tylko wyjdzie mu naprzeciw, bez żadnego osłaniania się, cofania, ale sama pokona całą drogę... jeśli tylko będzie na to czas. Jakie znaczenie ma duma, jeśli przyszłość jest niepewna. Miała nadzieję, że on będzie z nią tak samo szczery, jak ona zamierza być z nim... jeśli dana jej będzie sposobność.

Jeffrey odebrał ją z lotniska. Stary szofer powitał ją z głęboką ulgą.

- Panno Bernadette, samochód czeka - spojrzał na nią z roztargnieniem. - A bagaż?

- Przyleci następnym samolotem, Jeffrey. Jak się ma ojciec? - zapytała z niepokojem.

- Niedobrze, panno Bernadette. Jest częściowo sparaliżowany. Lekarz mówi, że to cud, że jeszcze żyje. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby...

Przygryzł wargi, a serce Bernadette ścisnęło się na widok wilgotnych oczu starego człowieka. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo szofer był ojcu oddany, a przecież powinna to była zauważyć. Te długie lata wiernej służby... i nigdy ani jednego krytycznego słowa! Miała zamknięte oczy na tyle rzeczy znajdujących się w zasięgu jej wzroku.

- Jedźmy prosto do szpitala - zdecydowała. Zrozumiała, że musiały być powody, dla których jej ojciec zaniedbywał ją tyle czasu... powody, które może Jeffrey znał. Albo się ich domyślał. Jakiegokolwiek były, to, co przeszło, było bez znaczenia. Musi żyć teraźniejszością, nie przeszłością.

Podróż do miasta trwała w Rollsie krótko. Po niespełna piętnastu minutach podjeżdżali pod wejście do prywatnej części szpitala Św. Wincentego.

- Czy są tu Alex i Alicja?

- Nie, panno Bernadette. Tylko panna Tammy - odpowiedział smutno. - Mam nadzieję, że ojciec będzie w stanie z panią rozmawiać.

Bernadette miała ściśnięte gardło i było jej trudno mówić.

- Ja też, Jeffrey. Dziękuję za wszystko - wykrztusiła. Ojciec był sam... tak jak ona przez te wszystkie

lata! Ta myśl towarzyszyła jej, gdy wchodziła do szpitala. Ani Alex, ani Alicja nie potrafili się z nim naprawdę porozumieć na jego poziomie. A ona tak skąpo wydzielala mu swoje towarzystwo! Tammy Gardner prawdopodobnie rozumiała go lepiej niż ktokolwiek inny. I Tammy powiedziała jej... „on cierpi z twojego powodu”.

Ale już więcej nie będzie, Bernadette złożyła cichą obietnicę.

Pokazano jej drogę na oddział intensywnej terapii. Z każdym krokiem wzmacniały się jej postanowienia. Pokona dzielącą ich przepaść, bez względu na to, czego to będzie wymagało. Zrobi wszystko, żeby czuł się lepiej. Utraciła Dantona. Nie może stracić teraz ojca.

Jego twarz wydawała się wycieńczona i szara w bieli szpitalnego łóżka. Strach chwycił ją za gardło. Żeby tylko nie było za późno, modliła się.

Tammy Gardner wstała z krzesła stojącego w pobliżu łóżka i podeszła do niej.

- Stan twojego ojca jest krytyczny, ale ustabilizowany - wyszeptała. - Teraz śpi spokojnie. To jest dla niego najlepsze.

Bernadette odetchnęła głęboko.

- Jakie są prognozy?

Tammy zadrżała, odetchnęła głęboko, a ból w jej oczach pozwolił Bernadette uświadomić sobie, jak rozpaczliwa była sytuacja.

- Doktor Norton uważa, że jeśli uda nam się utrzymać go przy życiu przez dwa dni, będziemy mieli pięćdziesiąt procent szansy. Jeśli przeżyje tydzień, będzie żył.

- A paraliż?

- Będzie tymczasowy. W ciągu sześciu do dwunastu miesięcy... - głos uwiązł jej w gardle, a oczy wezbrały łzami. - Przepraszam... tak ciężko jest widzieć go w tym stanie. Wiedzieć, że... - Potrząsnęła głową starając się pohamować zdenerwowanie.

Bernadette wzięła ją za ramię i wyprowadziła z pokoju.

- Idź i napij się kawy, Tammy – powiedziała łagodnie i ze współczuciem. - Przejdź się. Musisz odpocząć od tego napięcia. Ja posiedzę przy ojcu. Nie będzie sam. I przyrzekam ci, że kiedy się obudzi, będę dla niego taką córką, jaką byś chciała, żebym była.

Tammy szukała szczerości w oczach Bernadette i z satysfakcją pokiwała głową na znak zgody.

- On... on powinien był umrzeć, Bernadette. Doktor Norton nie rozumie, w jaki sposób Gerard przeżył atak. Jego EKG było... było straszne. Myślę, że utrzymał się przy życiu siłą woli... dla ciebie.

- Nie pozwolę mu odejść, Tammy - zapewniała ją Bernadette. - Chcę, żeby ojciec żył i zrobię wszystko, żeby tak było. Teraz idź. Jest ze mną bezpieczny. Tak bezpieczny, jak to możliwe.

- Tak. Dziękuję, Bernadette.

- To ja dziękuję. Za to, że go kochałaś, kiedy ja nie potrafiłam.

- Zawsze go będę kochała - wyszeptala Tammy i odwróciła się, bo jej oczy znowu napęłniły się łzami...

Bernadette patrzyła, jak odchodzi, rozumiejąc dokładnie, co Tammy czuła. Ona też będzie zawsze kochała Dantona. Zaprzeczać temu było głupotą, która obracała się przeciwko niej samej. Czuła rozpacz, a jej serce skręcało się z bólu.

Zawróciła i weszła do pokoju ojca, cicho siadając na opuszczonym przez Tammy

krześle. Ciężko było patrzeć na niego, gdy znajdował się w takim stanie... taki słaby i bezsilny. I mimo całego swojego medycznego wykształcenia Bernadette czuła się bezradna.

Słuchała oddechu ojca, sprawdzała jego puls i obserwowała wykresy na monitorach pokazujących akcję serca, patrzyła na kroplówki zasilające jego ciało. Po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że pomimo ogromu nagromadzonej wiedzy, często nie wiedziało się najważniejszego... na przykład: jak utrzymać ojca przy życiu.

Gładziła jego rękę, jakby chciała przelać swoje własne siły witalne w jego ciało. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło od momentu, gdy podniósł powieki. Nie dostrzegła nawet pierwszego przebłysku świadomości, ale usłyszała imię, które wyszeptał:

- Odile...

Imię jej matki. Serce skurczyło jej się w bólu.

Wypowiedział je z taką miłością... i to spojrzenie w ledwie otwartych oczach... ta przejmująca namiętność...

- Tatusiu... - nie wiedziała, co jej się stało, że tak go nazwała, ale zrobiła to w nagłym przyplywie uczucia. - To ja, Bernadette.

- Odile... - wyszeptał, ale tym razem było to westchnienie rozpacz, zamknął oczy, a twarz wykrzywiło mu cierpienie.

- Tatusiu, proszę... nie wolno ci się denerwować... to ja, Bernadette.

Cisza, jaka po tym nastąpiła, była straszna. Jego ciało zadrzało. Bernadette udało się zdławić panikę i rzucić profesjonalne spojrzenie na monitory. Ale nic nie mogła zrobić. W końcu z jego ust wydobył się dźwięk... tak słaby, że ledwie słyszalny. Bernadette szybko nachyliła się nad jego wargami, by móc usłyszeć każde słowo.

- Nic nie mogłem na to poradzić, Bernadette - wykrztusił i Bernadette słyszała jego rozpacz.

- Wiem... Wiem, że nie mogłeś. Wszystko jest w porządku - zapewniała go, nie wiedząc, co miał na myśli, ale czując ulgę, że ją poznał, i pragnąc go uspokoić.

Mówił urywanymi słowami, wydobywającymi się z głębokim nieustającym żalem.

- Twoja matka była... moją miłością... moją jedyną miłością... miłością całkowitą... była moim życiem. Mieliśmy się pobrać... byliśmy tacy szczęśliwi. Żałuję, że cię nienawidziłem, Bernadette. To był błąd... taki straszny błąd...

W szoku wstrzymała oddech... taki był ból, jaki zadało jej to wyjaśnienie. Ale ona nienawidziła go także, też popełniła ten sam błąd.

- Nie możesz dalej mówić w ten sposób. To może cię zabić. Nie wolno ci się denerwować – powiedziała z gwałtownym naciskiem.

- Muszę powiedzieć ci, dlaczego... żebyś zrozumiała... żebyś mi mogła wybaczyć.
- To nie ma znaczenia. Nie męcz się - błagała.
- Taki błąd...

Jego głowa poruszała się niespokojnie na poduszce i Bernadette położyła mu uspokajająco dłoń na czole. Otworzył oczy i patrzył na nią posepnie.

- Ty ją zabiłaś, Bernadette. Kiedy się urodziłaś... zabiłaś... swoją matkę. A ja nie mogłem ci przebaczyć. Winiłem cię... za stratę, którą poniosłem. Czy możesz mi kiedyś wybaczyć?

- Mogę ci wszystko wybaczyć, jeśli kochałeś moją matkę. Myślałam, że jej nie kochałeś i dlatego ja dla ciebie nic nie znaczyłam - powiedziała wolno, mając nadzieję, że jej słowa są dla niego zrozumiałe.

Westchnął i wykrzywił usta w smutnym ironicznym grymasie.

- Nawet kiedy przyszedłem do ciebie... Musiałem się nauczyć cię kochać. Na początku, kiedy wysyłano mi twoje szkolne świadectwa... wykazywałaś taką siłę. Byłaś obiecującą, a ja potrzebowałem spadkobiercy, który poszedłby w moje ślady. Zrobiłem to na zimno... na początku. Ale chciałem cię kochać... moją córkę. Będę wiecznie żałował... że było już za późno.

- Ja... - Łzy zalały jej oczy, ale udało jej się wyrzucić z siebie prawdę. - Ja też cię kocham, tatusiu. Tak żałuję, że się przed tobą z tym ukrywałam. Nie chcę, żebyś umarł. Potrzebuję cię...

Jego wzrok natychmiast się zaostrzył.

- Danton?

Bernadette pokiwała głową.

- Zamknęłam się przed nim, tak samo jak przed tobą. I popełniłam błąd... straszny błąd. Nie mogę stracić was obu - błagała. - Jeśli mnie opuścisz, znowu nie będę miała nikogo. Nie mogę tego znieść, tatusiu.

Podniósł wolno rękę i starł ślad łez z jej policzka.

- Jesteś taka uparta i namiętna - powiedział łagodnie. - Zupełnie inna niż ja. A tak sama jak matka. Powinienem był to dostrzec. Ale wolałem widzieć twoje podobieństwo do mnie. Danton widział wszystko. Zdałem sobie potem z tego sprawę. To nie była żadna gra z jego strony, prawda?

- Nie wiem - westchnęła i cała ponura rozpacz ogarnęła ją znowu. - Nie sądzę. Teraz myślę... że naprawdę chciał sprawić, żebym go pokochała.

- Tak sądziłem - zgodził się ojciec, oddychając z trudem. Przez dłuższy czas nie padło między nimi żadne słowo.

Wydawało się, że zapadł w głęboki sen. Bernadette siedziała blisko niego, przytulając policzek do jego dłoni, żałując czasu, który stracili i tego wszystkiego, co mogli dzielić, czując, że łączące ich więzy rodzinne były mocniejsze i głębsze niż się spodziewała.

Tammy przyniosła jej tacę z kanapkami. Bernadette jadła automatycznie nadal czuwając przy ojcu i pragnąc, by żył. Mijały godziny. Kiedy obudził się znowu, wydawał się jej silniejszy.

- Bernadette, żeby zrozumieć Dantona... musisz pojąć... że tylko najgłębsza namiętność może stworzyć cierpliwość, by czekać na ciebie przez te wszystkie lata. Żeby planować wszystko tak, jak on planował. By ryzykować pozostawanie poza obrębem twojego życia przez tyle czasu. To było bardzo odważne... Podziwiam tego człowieka.

Ale nie był całkowicie poza zasięgiem jej życia, zorientowała się Bernadette w nagłym olśnieniu! Te kwiaty w jej urodziny... te tajemnicze miłosne listy... które rościły sobie prawo do jej umysłu i serca i które sprawiały, że dostrzegała braki innych mężczyzn. Oczywiście, że to musiał być Danton! I ta wytrwałość...

- Taka namiętność nie umiera, Bernadette – ciągnął ojciec i uśmiechnął się do niej smutno. - Ja to wiem. Pamiętam to tak żywo.

Bernadette patrzyła na ojca, chcąc uwierzyć, że tak samo będzie z Dantonem, ale zbyt dobrze pamiętała ostatni błysk nienawiści w jego oczach.

- Nie wiesz, co mu powiedziałam, tatusiu - powiedziała z przygnębieniem. - Nigdy znowu się do mnie nie zbliży.

Głęboka duma uwydatniła rysy jego twarzy.

- Jesteś moją córką tak samo, jak córką Odile. Jeśli go kochasz, nie rezygnuj. I nie przyjmuj do wiadomości odpowiedzi odmownej.

Poczuła nadzieję. Oczywiście, ojciec miał rację. Nie po to walczyła przez te wszystkie lata o przetrwanie, żeby teraz poddać się przeciwności losu. Zaciśnęła zęby w stanowczym postanowieniu. To ona teraz zorganizuje ich następne spotkanie. I nie pozwoli Dantonowi zwieść. Nie ona jedna była w tym wszystkim winna. On też ma niejedno na sumieniu. Kiedy staną naprzeciw siebie... Bóg jej świadkiem... będzie gotowa dla niego!

- Tak - powiedziała. - Tak zrobię.

W jej oczach pojawiła się siła i zdecydowanie, które Gerard znał tak dobrze, więc odprężył się z zadowoleniem. To nie było to, czego się spodziewał... nie to, co planował... życie robiło takie dziwne niespodzianki. Chciał przekazać swoje imperium Bernadette. Ale jej szczęście było dla niego ważniejsze niż wszystkie pieniądze świata. Odile by tak powiedziała. Odile...

Zamknął oczy, rozkoszując się wspomnieniami swojej nieogarnionej jedynej namiętności w życiu. Wszystko inne blakło w porównaniu z nią. Wszystkie pieniądze i władza... to tylko próżność... punkty w grze, która się naprawdę nie liczy. Tylko Odile...

- Tatusiu? - powiedziała zaniepokojona o niego Bernadette.

- Wszystko w porządku. Czuję się teraz lepiej. Wracaj do Dantona, Bernadette. Załatw to.

- Nie mogę cię zostawić, gdy jesteś taki chory.

- To najlepsze, co możesz dla mnie zrobić. Wyślij mi wiadomość. - Otworzył oczy, w których pojawił się błysk i udało mu się słabo uśmiechnąć. - Powiedz mi, że

zwyciężyłaś. Powiedz mi, że będę miał wnuki.

Na jej odprężonej twarzy pojawił się w odpowiedzi uśmiech.

- Tylko pod warunkiem, że będziesz żył... bardzo długo.
- Jeszcze dłużej. Nie mam zamiaru stracić tego, co straciłem z tobą. Chcę być dziadkiem twoich dzieci, Bernadette.

Dzieci... Bernadette przypomniała sobie, co Danton powiedział tego wieczora, kiedy przyjmowała dziecko Marity. Powinna była wiedzieć, że ją kocha. Czyż jej nie powiedział, że jeśli będzie miał dzieci, to tylko z kobietą, której będzie pragnął bardziej niż wszystkich innych? I zasugerował, że będą mieli dziecko... kiedy ona będzie na to gotowa.

Traciła zdolność rozsądnego myślenia. Może sprawiło to głębokie uczucie. Zresztą, jeśli chodziło o Dantona i tak nie chciała myśleć rozsądnie.

Podniosła się i nachyliła, by pocałować policzek ojca.

- Będziesz miał swoje wnuki, tato.
- Danton nie ma żadnej szansy - pomyślał z radością i znowu zamknął oczy, odpoczywając z zadowoleniem... po posłaniu Bernadette w poszukiwaniu szczęścia, na które zasługiwała.

To będą nie tylko moje wnuki, ale i wnuki Odile, pomyślał. Nie będzie tym razem żadnego zaniedbania. Dostał najboleśniejszą nauczkę na świecie. Nie można obwiniać dzieci za los, nawet najgorszy!

Bernadette i Danton... Gerard czuł głęboką satysfakcję. Będzie miał godnego spadkobiercę swojego imperium. Nie ma co do tego wątpliwości. Jedyne, co jemu pozostaje do zrobienia, to żyć długo. Zgodzi się na tę operację. Dwadzieścia lat to wcale nie za dużo.

I Tammy... musi coś dla niej zrobić. Dać jej szczęście. I to nie powinno być zbyt trudne. Im jest się starszym, tym to się wydaje łatwiejsze. Nie była Odile i nigdy się nią nie stanie. Ostrzegał ją... próbował ją ostrzegać... ale potrzebował tej miłości,

którą mu dawała, i brał ją. Teraz przyszedł czas, żeby dać coś w zamian...

Usłyszał jej ciche kroki przy łóżku. Zawsze lubił perfumy, których używała.

- Tammy...

- Tak, Gerardzie - jej głos brzmiał tak niespokojnie. Otworzył oczy, spojrzał z przyjemnością na jej

ładną młodą twarz.

- Mam zamiar jeszcze trochę pożyć. Pamiętam, jak mówiłaś, że nie chcesz małżeństwa, ale ja bym chciał, żebyś została moją żoną. Żeby to było na stałe. Jeśli chcesz ze mną zostać.

Wzięła głęboki oddech.

- Kocham cię, Gerardzie. Nie musisz oferować mi małżeństwa. Jeśli Bernadette coś powiedziała...

- Nie. To mój pomysł. I myślę, że dobry. Jeśli musisz... pomyśl o tym, Tammy.

- Jeśli tego chcesz... to ja też tego chcę - powiedziała ze wzruszającą prostotą.

Nie jest jej wart, myślał z żalem. Ale będzie przy nim bezpieczna. Będzie się nią mógł należycie opiekować... dać jej tyle radości, ile tylko będzie mógł. Jak Danton Bernadette.

Najniebezpieczniejszy człowiek na świecie - myślał... Ale mieć go po tej samej stronie... tak, to nie było takie złe. To nie jego sprawka... naprawdę, nie ma z tym nic wspólnego... ale to była najbardziej udana ze wszystkich jego intryg!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wyspa ukazała się nareszcie, otoczone chmurami szczyty gór dodawały jej jeszcze mglistego uroku. Bernadette modliła się, żeby Danton powrócił na Te Enata po rozstaniu z nią w Papeete. Dowiadywać się, czy tam ciągle jeszcze jest, było zbyt ryzykowne, Danton mógłby o tym usłyszeć. To zmieniłoby całą sytuację na jego korzyść i z całą pewnością postąpiłby z nią bezlitośnie. Wiedziała aż za dobrze, że odrzucenie stwarza bariery, których potem nie sposób przełamać. Potrzebowała elementu zaskoczenia!

Hydroplan ślizgał się już po wodzie laguny. Parę czółen odbiło od brzegu, ale jej nie zapowiadany przyjazd nie był tym razem uroczyście celebrowany. Bernadette spojrzała na brzeg, ale nie było na nim śladu Dantona. Nie było również jeepa zaparkowanego przed sklepem.

Bernadette otworzyła drzwiczki samolotu, gdy uderzyło o niego pierwsze czółno.

- Taote! - doleciało ją radosne pozdrowienie i Bernadette z ulgą rozpoznała Momo. Momo potrafił przynajmniej mówić po angielsku. I da jej potrzebne informacje.

- Ia orana oe, Momo - powiedziała, sprawiając mu radość tym polinezyjskim pozdrowieniem. - Czy pan Fayette jest na wyspie?

- W swojej chacie. Wysłał mnie, żebym pozłatwiał różne sprawy - mówił Momo, dumny z powierzonych mu funkcji. Uśmiechnął się do niej szeroko. - Będzie bardzo szczęśliwy, że pani wróciła, taote. Potrzebuje pani, żeby uczyniła go pani szczęśliwym.

Bernadette nie sądziła, żeby było to takie proste, ale uśmiechnęła się do niego z pewnością siebie.

- Czy zabierzesz mnie czółnem do chaty? - zapytała, nie chcąc, żeby nowina o jej przyjeździe na wyspę dotarła do Dantona wcześniej niż ona sama.

Momo się zgodził. Ten pomysł sprawił mu, jak się zdawało, ogromną przyjemność. Bernadette podziękowała pilotowi, podała swój neseser i torbę Momo i zeszła do czółna. Nie przejmowała się tym razem prymitywnymi środkami transportu. Zresztą

tym razem wiedziała dobrze, czego chce i nie zawracała sobie głowy modnymi strojami.

W torbie miała bikini i zmianę ubrania. I to wszystko. A na sobie niebieskie szorty i ładną wzorzystą podkoszulkę z głęboko wyciętym dekoltem. Włosy związała w koński ogon i nie kłopotowała się makijażem. Nie potrzebowała już uzbrojenia przeciwko Dantonowi.

- Czy pani ojciec ma się lepiej? - zapytał Momo płynąc czółnem wzdłuż laguny.

- Tak, znacznie lepiej - odpowiedziała Bernadette. Została w Sydney wystarczająco długo, żeby upewnić się, że ojcu nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Doktor Norton był zadowolony i z ostrożną pewnością zapowiadał całkowite wyzdrowienie. Oczywiście, nie było pewności, że coś podobnego nie zdarzy się w przyszłości, ale Bernadette nie wątpiła w długie życie swego ojca.

Momo wyciągnął czółno na brzeg dokładnie przed chatą Dantona. Bernadette podziękowała mu i z trudem powstrzymała się, by nie wbiec na werandę. Nim zdążyła rzucić na nią swoje bagaże, Tanoa wyszła frontowymi drzwiami, spodziewając się wracającego Momo. Jej twarz wyrażała zdziwienie. Bernadette przyłożyła palec do ust, ostrzegając dziewczynę, by nie zdradziła jej obecności.

- Gdzie jest Danton? - wyszeptała.

- W pracowni - odszepnęła Tanoa, z wielkimi, ciemnymi, rozświetlonymi radością oczyma.

- Zaprowadź mnie - ponagliła ją Bernadette. Przez te wszystkie dni, które spędziła na Te Enata, Danton nigdy nie pokazał swojego domu w środku.

Tanoa cichutko poprowadziła ją wzdłuż korytarza i wskazała drzwi, z trudem tłumiąc chichot, gdy Bernadette je otworzyła i pomachała jej ręką, dając znak, żeby zostawiła ją samą.

Danton siedział przed ekranem komputera odwrócony do niej plecami. Nie pisał. Póływał w wygodnym biurowym fotelu, a swoje długie, mocne nogi oparł

bezceremonialnie na pulpicie biurka. Leżące w nieładzie papiery wyglądały tak, jakby porzucił je w gniewie.

- Kto tu jest? - poirytowanym tonem domagał się wyjaśnień, nie trując się, by zmienić pozycję, czy choćby odwrócić do niej głowę.

Bernadette zamknęła za sobą drzwi i wzięła głęboki oddech. Na sam jego widok serce uderzało jej szybciej.

- Bernadette - powiedziała cicho. - To tylko Bernadette.

Zsunął nogi z biurka. Obrócił natychmiast krzesło i spojrzał jej w oczy. Wyraz zdziwienia i niewiary szybko zastąpiła sztywna rezerwa. Jego oczy prześlizgnęły się po niej i załśniły szyderstwem.

- To nie w twoim stylu - wycedził. - Co cię sprowadza z powrotem?

Uśmiechnęła się do niego przeciągle, prowokacyjnie.

- Ojciec potrzebuje zachęty do powrotu do zdrowia. Usta Dantona zwały się. Bernadette czuła jego napięcie, wyczuwała jego niepewność, ale była zdecydowana wydobyć z niego pełne wyznanie jego uczuć do niej.

- A więc chodzi ci o wyspę - wykrzywił wargi.

- A mnie nazywałaś bezwzględny.

Uniosła wyzywająco brwi.

- Chciałeś wiedzieć, z jakiej jestem zrobiona gliny.

- Ze skamieniałej - powiedział z przekąsem i goryczą w oczach. - Już mnie nie interesujesz, Bernadette. Idź sobie i rób, co chcesz.

- Dobrze - powiedziała i podeszła do niego. Musi odbudować zniszczenia, które poczyniły jej kłamstwa, mówione w samoobronie. Parę łatwych słów nie wystarczy. On zmusił ją, żeby go zaakceptowała. Teraz ona tak samo musi zmusić jego, by zaakceptował ją. Przychodził jej do głowy tylko jeden sposób, ujawnienia prawdy i zmuszenia, by zdał sobie z niej sprawę.

- Problem z twoimi ustami, Dantonie - wycedziła pokonując dzielącą ich przestrzeń
- polega na tym, że wyrzucając słowa pozbawione znaczenia podczas, gdy powinny robić coś nieporównanie bardziej cudownego.

Podniosła ręce w kierunku jego gładkiej, nagiej klatki piersiowej, ale on powstrzymał ją, ujmując przeguby jej dłoni w żelazny uchwyt. Zacisnął szczęki, miał ponurą twarz, a jego oczy rzuciły niebezpieczne błyski.

- Nie baw się ze mną, Bernadette. Będziesz tego żałować przez resztę życia. - Jego głos brzmiał dziko, nieubłaganie.

- Uważasz to za swoją specjalność, prawda? - odrzuciła kpiąco. - Bawić się ludzkimi uczuciami... by służyły twoim celom?

- Myśl, co chcesz! Ale ostrzegam... tym razem nie będzie żadnych hamulców. Nie mam zamiaru więcej odgadywać twoich pragnień.

- A co z twoimi pragnieniami? - zapytała łagodnie, zachęcając go oczyma do zrobienia z nią, czego tylko pragnął. - Nie chcesz, żebym ja spróbowała je odgadywać?

Widziała w jego twarzy oznaki walki wewnętrznej, dumę walczącą z gwałtownym pragnieniem, by wziąć to, co mu ofiarowywała. Usta wykrzywiła mu pogarda do samego siebie. Niski, zwierzęcy pomruk wydobył się z jego gardła. Odepchnął jej rękę do tyłu i uderzył jej ciałem o swoje z pełną mściwości siłą. Bezlitosne okrucieństwo płonęło w jego oczach, kiedy powoli i z namysłem miażdżył jej biodra swoimi. Jego agresywne, wezbrane podniecenie wzbudzało między jej udami rozkoszną omdlałość.

- Czego ode mnie chcesz? Dlaczego wróciłaś?
- Powiedz mi, że mnie kochasz - domagała się. Oddychał ciężko, ze świstem.
- Chciałabyś, żebyśmy znowu byli kochankami? - warknął, wykrzywając twarz w ponurym gniewie.
- Tak - odpowiedziała bezwstydnie. Mógł ukrywać swoją miłość za zasłoną wrogości - czyż ona tego też nie robiła? - ale nie potrafił ukryć swojego pulsującego pożądania. I tak jak on ją rozbroił pieszczotą, ona spróbuje rozbroić jego.
- Jeśli tego chcesz, z przyjemnością cię posłucham, Bernadette. Ale nie będzie już tak jak dawniej. Nauczę cię, jaka jest różnica między miłością a seksem, żebyś mogła rozpoznać prawdę. Kiedy spotkasz kogoś, na kim ci będzie naprawdę zależało.

Nie dał jej czasu na odpowiedź, zamykając usta pocałunkami, w pełnej gniewu namiętności, która nie знаła nasycenia.

Bernadette było wszystko jedno. Wszystkie męki, jakie jej zadał, zamieniły się teraz w gwałtowną burzę uczuć, tym gwałtowniejszą, że podsycaną jego brakiem opanowania. Nie było w tym żadnej delikatności, wrażliwości, żadnych względów.

Danton zdarł z niej ubranie. Zerwał swoje pareu. Całował ją z gwałtownym, dzikim głodem; całował jej usta, szyję, odnalazł jej piersi i doprowadził do tego, że drżała z pożądania i tęsknoty. Krzyknęła, ale nie miał nad nią litości. Wbiła mu palce w plecy i to podnieciło go jeszcze bardziej. Gdy rzucił ją na podłogę, jego biodra chłostały pożądaniem drżącą miękkość jej ciała. Wreszcie przygwoździł ją do siebie.

Napięcie, do jakiego ją doprowadził, domagało się rozładowania i Bernadette zachęcała go bezwiednie do ostatecznego połączenia. Wszedł w nią tak głęboko i mocno, że jej ciało szamotało się w konwulsjach, przebite, rozpalone, przestrzelone drobnymi nabojami rozkoszy.

Zanurzył się w nią jeszcze raz i jeszcze raz... rwący strumień wrażeń pokonujący kolejne wzniesienia... burzliwe wodospady, które uderzyły i wirowały i szarpały ją w ostatnim już uniesieniu, by ponieść ją ku błogiemu spokojowi... spokojowi, który w tak cudowny sposób zapewniały otaczające ją władcze ramiona Dantona.

Ich śliskie od potu ciała ciągle znajdowały radość w zmysłowym kontakcie, mimo że zaspokoili już pożądania... i dopiero w jakiś czas potem Danton mógł znowu udawać, że nic dla niego nie znaczyła. Bernadette w radosnym podnieceniu uniosła się i pocałowała go w policzek.

- Powiedz mi, że mnie kochasz, Dantonie. Wiem, że tak. Ale chcę to usłyszeć z twoich własnych ust - wyszeptała uwodzicielsko.

Jego klatka piersiowa uniosła się, gdy prędko nabrał powietrza, a następnie opadła w wolnym wydechu. Napiął mięśnie, przekreślił się, zmusił ją, by położyła się na plecach, przygważdżając ją do ziemi, a jego czarne oczy badały jej oczy. Jego twarz była jak pozbawiona wyrazu maska, nie zdradzała jego uczuć, ale gdy zaczął mówić, w głosie ciągle jeszcze drżały emocje, nie potrafił go do końca opanować.

- Dlaczego ci coś podobnego przychodzi do głowy. Dałem ci jedynie nauczkę, Bernadette.

Odpowiedziała mu uciekając się do ostatniego dowodu, jaki miała, błagając go o zaufanie.

- Na moje ostatnie urodziny dostałam kartkę, w której były następujące słowa: „Siłą i namiętnością życia jest miłość. Zaakceptuj siłę; rozkoszuj się namiętnością...” Ja już to zrobiłam. Teraz twoja kolej. Ja chcę miłości, chcę ją dawać i brać. Jeśli to ty wysłałeś tę kartkę, znasz treść ostatniej linijki.

Czuła, jak napięcie powoli go opuszcza. Jego oczy złagodniały i patrzyły na nią z głębokim uczuciem.

- Więc już. wiesz - wyszeptał, jakby to, że może przestać się kontrolować, przynosiło mu ulgę. - „Wszystko inne... to próżność” - wyrecytował. Jego usta wykrzywiła żartobliwa ironia. - To ty mnie tego nauczyłaś, tego wieczoru w Hong Kongu, Bernadette. Od pierwszego spotkania... sprawiłaś, że zacząłem czuć. To, co, miałem nadzieję, że i ty poczujesz... kiedy minie wystarczająco dużo czasu i zrozumiesz.

Podniósł dłoń, by z czułością pogłodzić ją po twarzy.

- Czy tak się stało? - zapytał. - Czy jesteś teraz gotowa na to, by cię kochać?

- Dlatego właśnie wróciłam - powiedziała ochryłym głosem. - Potrzebuję cię, Dantonie. Tak bardzo, że nie mogłam znieść myśli o tym, że możesz mnie porzucić po tych trzydziestu dniach. Sądziłam, że masz zamiar to zrobić. Myślałam...

Położył łagodnie palec na jej ustach, by uciszyć budzące ból myśli, które nie były już uzasadnione.

- Bernadette, nie miałem żadnej nadziei. Byłem w rozpacz. Byłaś tak okrutnie zraniona. Jak mogłem ci okazać swoją miłość? Gdybym ci to po prostu powiedział, byłabyś mnie od razu cynicznie odrzuciła. Wszystko stawiałem na to, że te trzydzieści dni może wystarczy, by zdobyć twoją miłość. Ale musiałem zwalczyć tyle twoich uprzedzeń...

- Wiem - westchnęła. - Sądziłam, że jesteś taki, jak mój ojciec. Ale się myliłam i w tej sprawie. Muszę cię jednak o jedno poprosić, Dantonie, bo inaczej nigdy nie będę całkowicie szczęśliwa.

- Proś!

- Nie chodzi mi o mnie. Tylko o nasze dzieci. Jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

- Chcesz mieć dzieci?

- Nie mogę... Jego uśmiech zgasł.

- Nie mogę zrobić moim dzieciom tego, co zrobiono mnie, Dantonie - mówiła pośpiesznie, pragnąc, by ją zrozumiał. - Ojciec powiedział mi, że miał zamiar poślubić moją matkę, ale pewnie w tamtych czasach było trudno dostać rozwód. A moja matka umarła zaraz po moim urodzeniu, więc nigdy się nie pobrali. Byłam bardzo nieszczęśliwa z tego powodu, że byłam nieślubnym dzieckiem. To... było bardzo bolesne.

Jego twarz złagodniała i była pełna czułości.

- Czy sądziłaś, że nie widzę tego bólu, Bernadette? Musiałaś tyle sama sobie udowodnić, zanim stałaś się w pełni sobą. Próbowałem ci pomóc... ukierunkować twoje myśli w taki sposób, żebyś mogła widzieć wszystkie sprawy w innej perspektywie, pod innym kątem...

- Te wszystkie kartki...

- I te wszystkie róże, ponieważ chciałem ci je ofiarować, a ty byś ich nigdy nie przyjęła, gdybyś wiedziała, że są ode mnie. Wiedziałem, że najtrudniejszym zadaniem mojego życia będzie doprowadzić do tego, byś chętnie i z radością zgodziła się mnie poślubić.

- Czy zawsze miałaś zamiar się ze mną ożenić? - zapytała niedowierzająco.

Zaśmiał się i trzymał ją w objęciach, tak, że jej policzek ciągle przytulony był do jego serca.

- Kochanie, wybrałem sobie ciebie na moją żonę sześć lat temu. I po tym wszystkim, co przeszedłem, nie mam teraz zamiaru zmieniać zdania.

Bernadette uśmiechała się. Jej serce przepełnione było szczęściem i w błogości całkowitego zaufania nie mogła powstrzymać się przed chęcią, by się z nim podroczyć.

- Nie wiem, czy mogę ci ufać, Dantonie. Potrafisz czasami być podstępny...

- Tylko dlatego, żeby ci sprawiać przyjemność. Wyprostowała się, by mu zagrozić z całą powagą.

- Ale jeśli kiedykolwiek zboczysz z prostej drogi, Dantonie...

Udawał strach, ale jego ciemne oczy płonęły szczęściem, całkowicie psując ten efekt.

- Nigdy! - powiedział starając się, jak mógł najlepiej udawać powagę. - Za bardzo bym się bał twojego ojca.

Bernadette się śmiała.

- To jeszcze jedna rzecz. Musimy posłać ojcu wiadomość. Chce wiedzieć, czy cię zdobyłam.

Danton wybuchnął śmiechem.

- Zwycięstwo w porażce! Jakie to typowe dla Gerarda! - Uśmiech na jego twarzy zastąpiła troska.

- A jak on się ma, Bernadette? Czy to zmartwienie o ciebie spowodowało ten atak?

- Nie - zapewniła go szybko. - Zorientował się, że nie chcesz mi zrobić krzywdy.

- Twój ojciec jest bardzo mądrym człowiekiem - powiedział Danton z ulgą. - Ale jest bardzo o ciebie zazdrosny, Bernadette. Chce, żebyś poszła w jego ślady.

- Już nie. Chce, żebym była szczęśliwa – zdobyła się na prowokacyjny uśmiech. - I dostarczyła mu wnuków.

Danton błysnął zębami w uśmiechu i położył ją na plecach na macie.

- W tym przedsięwzięciu... - całował ją bardzo dokładnie - ...Gerard może liczyć na

moją współpracę.

- Małżeństwo, albo nic z tego, Dantonie - zagroziła Bernadette, gdy zaczął ją pieścić z tą zmysłowością, którą tak dobrze знаła.

- Hmm... potrafisz mi się oprzeć, kochanie? - wyszeptał oszołamiając ją pieszczotami.

- Jesteś bardzo arogancki, Dantonie Fayette - westchnęła, bez najmniejszej obawy o przyszłość, jaką będzie z nim dzielić.

- I bezwzględny - powiedział bezwstydnie. - Możesz mnie nienawidzić, ile tylko chcesz, bylebyś mnie też kochała. Czekałem zbyt długo, żeby teraz zmarnować choćby jedną minutę, jaką mogę spędzić z tobą, kochanie. Teraz i do końca życia razem.

Bernadette nie miała zamiaru o to spierać się. Nieszczęśliwe, samotne lata dzieciństwa, tęsknota za tym, żeby mieć rodzinę, nieustająca walka, o prawdziwą niezależność - wszystko to znikło z jej pamięci, jakby nic w ogóle się nie zdarzyło. Danton otworzył przed nią nowy świat jarzący się słodkimi obietnicami życia.